NUMER

119

1950

PORADNIK ŚWIETLICOWY

wydawnictwo
Światowego Komitetu
Y.M.C.A.
Sekcja Polska
w W. Brytanii

TREŚĆ:

Feliks Bielski: Zaniedbana sprawa ... ... str. 1

ŚWIETLICA

Tymon Terlecki: Teatr amatorski jako środek wychowawczy ... ... str. 2
Anna Bogusławska: O dostosowanie prac społecznych do życia ... ... str. 6
Tadeusz Felsztyn: Koła wiedzy ścisłej ... ... str. 8

WIECZORNICE

Wg. *Bolesława Prusa*: „Drzymalski, ty chcesz się żenić!" oprac. A.B.... ... ... str. 9

WIADOMOŚCI

Tadeusz Felsztyn: Nie z każdej chmury deszcz ... ... str. 13
Z życia YMCA ... ... str. 14
Kalendarzyk Klubu Sekcji Polskiej YMCA w Londynie ... ... str. 3 okłd.

PRENUMERATA: Roczna — £ 1 sh. 1/-. Półroczna — sh. 12/-.
Cena numeru pojedynczego sh. 2/-, podwójnego sh. 4/- wraz z przesyłką.

OGŁOSZENIA: 1/1 str. — £ 40. 1/2 str. — £ 21. 1/4 str. — £ 11. 1/8 str. — £ 6. 1/16 str. — £ 4.

Printed by: Drukarnia Polska M. Caplin & Co., Press Ltd., 15, Dunheved Road North, Thornton Heath, Surrey. Tel. THO 2727

PORADNIK ŚWIETLICOWY

ADVISER FOR EDUCATIONAL AND SOCIAL WORKERS

Rok 11 Nr 119	Wydawca: Światowy Komitet Y.M.C.A., Sekcja Polska w W. Brytanii, 6, Cadogan Gdns, London, S.W.3, tel. SLOane 8821.	Lipiec 1950

FELIKS BIELSKI

ZANIEDBANA SPRAWA

Często wspomina się o tym, że przedłużający się pobyt na emigracji stwarza dla polskich rzesz uchodźczych upragnioną sposobność do gruntownego poznania na zachodzie wielkich ognisk kultury. Przy różnych sposobnościach lubimy powtarzać efektowne zdania na temat obowiązku przyswojenia sobie obcych wartości, aby kiedyś przekazać je tym rodakom, którzy nie mieli okazji wychylenia się poza kraj ojczysty. Zadanie to uznaje się za jeden z celów zbiorowego pobytu na obczyźnie.

Jak ujawnia się ten pogląd w naszym postępowaniu? Niech każdy odpowie sam sobie w sposób uczciwy, czy miałby wiele materiału dla podzielenia się z innymi? Ignacy Krasicki w napisanej przed dwustu niemal laty opowieści pod tytułem „Mikołaja Doświadczyńskiego przypadki" opowiadał ironicznie o wędrówce zagranicznej młodego szlachcica, której jedynym dorobkiem było wspomnienie kilku kościołów oraz spożywanych po drodze przysmaków. W jakim stopniu potrafiliśmy wyjść poza ten skromny zakres spostrzeżeń?

Nie jest dla nikogo tajemnicą, że znajomość języków obcych jest jeszcze wśród naszych uchodźców daleka od potrzeb. Na obszarach wysp brytyjskich można uzyskać bez szczególnego wysiłku bezpłatną naukę języka angielskiego, ale czy umiemy z tego dobrodziejstwa korzystać? Ciągle spotykać można rodaków, chełpiących się dziesięcioletnim pobytem w Wielkiej Brytanii, którzy nie umieją porozumieć się z tubylcami o własnych siłach i muszą uciekać się do pomocy tłumaczy. Wśród osób, wykazujących większy stopień zaawansowania językowego, tylko pewien odsetek czyta książki angielskie dla prawdziwej przyjemności.

Przed wojną stan rzeczy w Kraju nie był pod tym względem na pewno lepszy. Za to polscy wydawcy ogłaszali wiele przekładów wybitnych dzieł obcych. Słyszało się nawet narzekania na przerost tłumaczeń kosztem twórczości rodzimej. Tak czy inaczej, istniała możność czytania autorów całego świata. Na emigracji tłumaczeń na ogół nie drukowano. Skutek jest taki, że paradoksalnym zbiegiem okoliczności zatracamy łączność z żywym ruchem piśmienniczym w innych krajach. Poznajemy zjawiska powierzchowne, ale rzadko sięgamy głębiej.

Rzecz zastanawiająca, że nasz ruch czasopiśmienniczy dotychczas nie przeciwstawił się należycie temu niebezpieczeństwu. Rzetelne, wyczerpujące sprawozdania ze świeżych publikacji w językach obcych są zjawiskiem nieczęstym. Na ogół pisma nie umieją zdobyć się na stały dział recenzji, poświęconych piśmiennictwu obcemu. Przeglądając polskie czasopisma i dzienniki, ukazujące się za granicą, można by dojść do niespodziewanego wniosku, że życie krajów, które udzielają nam gościny, właściwie nas nie pociąga, że świadomie czy podświadomie wolimy się od niego odgrodzić, poprzestając jedynie na przygodnych zetknięciach.

— A przecież tyle naszej młodzieży studiuje na uczelniach obcych! — zawoła któryś z niecierpliwszych czytelników. To prawda bezsporna i dość pocieszająca; ale młode pokolenie, pozbawione dostatecznej wiedzy o kulturze własnej, niezawsze potrafi zdobyć się na właściwą perspektywę i na niezależność w sądach. Poza tym studia w ogromnej większości dotyczą umiejętności technicznych, co w zakresie wyobrażeń kulturalnych jest stanowiskiem jednostronnym.

Udział nasz w działalności otoczenia wydaje się zbyt szczupły. Za wolno dokonywa się proces nawiązywania wzajemnych stosunków. Zbyt często najsilniejszy akcent pada na takie refleksje, które schlebiają naszemu poczuciu wyższości. W taki sposób próbujemy uzasadniać zamykanie się w kole własnych wyobrażeń. Zapominamy o tym, że krytyka powinna być oparta na rzetelnej, niefałszowanej znajomości przedmiotu. Nie wystarcza uogólnienie kilku powierzchownych, przygodnie zdobytych spostrzeżeń.

Ostatnio można było zauważyć pewną zmianę na lepsze, przynajmniej jeśli chodzi o dziedzinę słowa drukowanego. Jesteśmy jednak ciągle dalecy od takiego stanu rzeczy, który by świadczył o świadomym, systematycznym urzeczywistnianiu hasła powszechnego zbliżenia ku żywej kulturze Zachodu. Może właśnie w chwili obecnej hasło to nabiera świeżej żywotności? Może w miarę ustępowania trosk początkowych, związanych z przystosowywaniem się do nowych warunków materialnych, wolno skupiać więcej uwagi zbiorowej na sprawach kultury?

ŚWIETLICA
technika pracy — zagadnienia kulturalne i oświatowe

TYMON TERLECKI

TEATR AMATORSKI JAKO ŚRODEK WYCHOWAWCZY

Na zjawisko teatru amatorskiego można patrzeć z rozmaitych punktów widzenia. Można go pojmować jako przeciwstawienie się scenom komercjalnym — i to był pierwszy bodziec dla jego wielkiego wzrostu w Stanach Zjednoczonych. Można w nim upatrywać „hobby", rodzaj przyjemnego wypoczynku, — i to jest spojrzenie, górujące w Wielkiej Brytanii. Można go traktować jako instrument propagandy w ręku panującego systemu — i tak określa się jego rolę w Rosji Sowieckiej.

Ponad te wszystkie stanowiska wznosi się pojęcie teatru amatorskiego, jako środka wychowawczego. Jest to pojęcie bodaj najszersze. Obejmuje ono wszystkie strony zjawiska, wszystkie jego wartości i możliwości.

Gdy się ujmuje teatr amatorski jako środek czy zespół środków wychowawczych, dosyć naturalnie nasuwa się podział zakresu rozważań wzdłuż linii rampy — podział na scenę i widownię. Widziany od strony widowni, teatr amatorski jest wychowaniem innych. Oglądany od strony kulis scenicznych, teatr amatorski jest samowychowaniem, wychowaniem samego siebie.

WYCHOWANIE INNYCH

A

W pedagogii europejskiej sporo czasu temu zwyciężyła zasada nauczania poglądowego. Wyraża się ona w nakazie: jeśli tylko można, pokazywać, a nie opowiadać, łączyć opis przedmiotu z jego oglądaniem, opis zjawiska z praktycznym doświadczeniem.

Teatr ze swojej istoty jest sztuką, jakby najbardziej „poglądową". Nie opowiada o wydarzeniach, nie opisuje zjawisk, ale pokazuje je naocznie: w ruchu, w pełnym przebiegu, przez prawdziwych ludzi i sytuacje bliskie rzeczywistej prawdy.

Stąd pochodzi olbrzymia rola pedagogiczna teatru. Zwłaszcza w zakresie humanistycznym, w zakresie historii i literatury może on spełniać, a często z powodzeniem spełnia, tę samą rolę, jaką w zakresie fizyki i chemii spełnia model, przyrząd i eksperyment. Jeśli do przedmiotów humanistycznych doda się np. etykę, naukę współżycia społecznego, — przejdziemy od nauczania w ścisłym sensie słowa do wychowania i przekroczymy granice izby szkolnej i szkoły w materialnym znaczeniu tych wyrazów.

Wychowanie, jak i nauczanie poglądowe, jest przyjemne dla tego, którego się uczy i wychowuje, bo jest łatwe. Zaciera się w nim granica między nauką i zabawą. Wszystko, co w ten sposób wchodzi do świadomości wychowanka, ma dodatni koloryt uczuciowy. W tej metodzie odpada bolesne łamanie oporów i kojarzące się z nim uczucia ujemne.

To wszystko tłumaczy, dlaczego szkoła od dawna zrozumiała wychowawcze znaczenie teatru amatorskiego. Istnieje olbrzymia literatura w tym zakresie. W Polsce dwaj propagatorzy teatru szkolnego zostawili godne uwagi książki: Lucjan Komarnicki „Teatr szkolny, ogólne rozważania z praktyki teatru szkolnego, teoria teatru szkolnego" (Warszawa, 1926), Zdzisław Kwieciński „Teatr samorodny w szkole, rzecz o instynkcie teatralnym dzieci i młodzieży" (Warszawa, 1933).

Formuła: „wychowanie przyjemne" stosuje się nie tylko do teatru szkolnego. Jest ona ważna dla każdego teatru amatorskiego w ogóle. Prawie każdy teatr środowiska: żołnierski, robotniczy, wiejski itp. mniej lub więcej świadomie wprowadza w czyn zasadę: pokazać to, czego się chce nauczyć, wychowywać żywym, naocznym przykładem — jedno i drugie otoczyć aurą dodatnich skojarzeń uczuciowych.

B

Z tym najprostszym, elementarnym działaniem teatru łączy się inne, o wiele trudniej uchwytne i o wiele subtelniejsze. Rozszerzając widnokrąg, wprowadzając w obręb osobistego doświadczenia coraz nowe przedmioty i fakty, wzbogacając indywidualne życie — teatr jednocześnie porządkuje nasz obraz świata, wyjaśnia składające się na ten obraz elementy.

Każde przedstawienie teatralne, każdy utwór dramatyczny jest całością uporządkowaną, zamkniętą. Stanowi skrót życia, jakby jego parabolę czy przenośnię. W każdym występuje zderzenie prawd i sił, a w ślad za tym konfliktem przychodzi rozwiązanie. Nawet jeśli to rozwiązanie widza w pełni nie zadowala, jeśli budzi sprzeciw, jest ono propozycją, porządkującą jego odczucia i przeświadczenia.

Dotyczy to zarówno, choć w różnym stopniu, sztuki popularnej, jak i — tragedii greckiej. Tragedia grecka była ze swego rodowodu sztuką ludową, graną przez amatorów. Tłumaczyła ona działanie losu, działanie sił, od których człowiek jest zależny. Wyrażała określony pogląd na świat, wywodzący się z wierzeń starożytnej Grecji. Inaczej mówiąc: nadawała określony sens temu, co wokół nas wydaje się niezrozumiałe i niepojęte.

Sztuki, dostępne teatrowi amatorskiemu, na ogół nie sięgają szczytów tragedii greckiej, jednego z największych dokonań ducha ludzkiego. Nie wszystkie też dotykają spraw ogólnych i zasadniczych dla człowieka. Mogą dotyczyć zagadnień szczegółowych, np. sprawy stosunku dzieci do rodziców, jednostki do społeczeństwa i tp. Ale oddziaływanie tych sztuk na widza jest podobne. Pomagają one w wyjaśnieniu nękających go problemów, w uładzeniu, uporządkowaniu poglądu na życie.

Z tego stanowiska utwór zwarty dowolnych rozmiarów góruje nad przedstawieniem, stanowiącym przypadkową składankę, usypisko fragmentów nie powiązanych z sobą; także każda rzecz choćby prosta, ale głębsza, góruje nad czystą rozrywką. Zespół amatorski i jego kierownik, świadomi tej roli teatru, będą się starali wyczuć potrzeby swoich widzów, dać im takie widowisko, które utrafi w sedno zainteresowań, dotknie spraw, które w danej chwili obchodzą ich przed wszystkimi innymi.

C

Nie tylko w otaczającym go świecie człowiek natrafia na znaki zapytania, na rzeczy niezrozumiałe i niepokojące. We wnętrzu każdego z nas kłębią się niewyżyte możliwości, złe i dobre popędy, przerosty, uwierające duszę. Każdy z nas chciałby być jeszcze kimś innym, niż tym, kim jest, osiągnąć jeszcze coś więcej nad to, co osiągnął.

Tę całą nadwyżkę, nieraz dosyć urojoną, nieraz groźną dla naszej równowagi, teatr wyzwala z nas i odprowadza. Często wystarczy przeżyć jakąś przygodę w teatrze, zobaczyć jej skutki, aby stracić do niej pęd, który nam zaburzał życie wewnętrzne.

Przez to działanie wyzwalające teatr wychowuje nas bez względu na wiek i stan. Nie różnimy się w tym zbytnio od własnych dzieci, od chłopców, którzy w udanej, teatralnej wojnie wyżywają wojowniczość, — od dziewczynek, które na lalce, wypchanej trocinami, wyładowują wzbierającą czułość. Rozumny wychowawca świadomie kieruje instynktem zdobywczym chłopców i zaczątkowym instynktem macierzyńskim dziewczynek. Wybitny pisarz francuski Leon Chancerel napisał książkę „Les jeux dramatiques", stanowiącą jakby metodykę wyzwalania i wyszlachetniania instynktów przez zabawę w teatr.

Takim samym wychowawcą, mniej lub bardziej świadomym, może być scena również wobec ludzi dorosłych.

D

Wielką wartość wychowawczą stanowi wielostronność wzruszeniowa teatru. Wszystkie inne sztuki są, żeby użyć terminu angielskiego, „monoemotional" czyli zwracają się tylko do jednego zmysłu, wywołują w nas tylko jeden rodzaj wrażeń i wzruszeń. Muzyka odwołuje się do słuchu, sztuka plastyczna do wzroku. Kolorowy obraz wzbudza w nas wrażenia barwne, rzeźba i architektura wrażenia kształtu i równowagi masy.

Teatr łączy te wszystkie oddziaływania. Nie jest instrumentem jednostrunowym, ale wielostrunowym. Odwołuje się na raz do wszystkich zmysłów, do wszystkich władz człowieka. Porusza i ogarnia go całego.

Stąd to Wagner, a za Wagnerem u nas Wyspiański uważali teatr za „syntezę sztuk", za ich połączenie i zespolenie w jednoczesnym działaniu. To pojęcie teatru jako „syntezy sztuk" zostało przezwyciężone przez angielskiego reformatora Craiga, który proklamował niejako jego niezależność, mówiąc o odrębnej, samodzielnej, do niczego nie podobnej „sztuce teatru", — „art of the theatre". Ale ciągle prawdą jest wyjątkowe znaczenie teatru dla kultury smaku estetycznego.

Często przez teatralne wychowanie estetyczne prowadzi droga do odczuwania innych sztuk, trudniejszych i wymagających specjalnego przygotowania. Stanowiąc największą pełnię sztuki, teatr jest jednocześnie jakby progiem, otwierającym drogę do jej odrębnych światów.

E

Wszystko to, cośmy dotąd dojrzeli w teatrze: poglądowe unaocznienie, wzbogacenie osobistego życia i rola porządkująca, zdolność wyzwalania nas od przerostów psychicznych i wpływ kształcący nasz smak — wszystko to przejawia się zbiorowo, w łączności z innymi ludźmi. Ze wszystkich sztuk, tworzonych przez człowieka, teatr w najwyższej mierze jest przeżyciem społecznym. Będąc przeżyciem, jak żadna inna sztuka wychowuje on do życia społecznego.

Ten wpływ daje się najłatwiej śledzić i jest najbardziej wyraźny w teatrze środowiskowym. Gdy ludzie, żyjący w jednym środowisku: w szkole, w obozie jenieckim, w fabryce lub osiedlu podlegają wspólnie przez czas dłuższy tylu i tak głębokim pobudzeniom, musi to wytwarzać wśród nich pewną wspólnotę odczuwania i oceniania rzeczy, jakby wspólny język duchowy.

WYCHOWANIE SIEBIE

Określone dotąd wartości wychowawcze teatru amatorskiego dotyczą w znacznej mierze teatru w ogóle. Odrębne znaczenie wychowawcze teatru amatorskiego występuje o wiele dobitniej, gdy się nań spojrzy nie od widown i, ale sceny, nie ze stanowiska widza, ale wykonawcy.

A

Walor teatru jako „sztuki poglądowej", widziany od tej strony, nabiera zupełnie szczególnej wagi. Aktor-amator to nie jest ktoś, komu się coś pokazuje, przed którego oczyma przeprowadza się jakieś doświadczenia. Aktor-amator sam jest niejako miejscem, przedmiotem i tematem owego doświadczenia. Gdy gra rolę człowieka, płacącego drogo za zły czyn albo otrzymującego nagrodę za ciche poświęcenie — w sobie, w swoim wnętrzu przechodzi on eksperyment, nieznany mu z własnego życia.

Przez wczuwanie się w innych ludzi i dawanie zewnętrznego, widzialnego wyrazu ich przejściom i doznaniom, myślom i uczuciom, ich bólowi i radości dokonywa się doświadczalne wzbogacanie własnej wyobraźni uczuciowej. Jest to jakby praktyczna

nauka o człowieku, ucząca go rozumieć, współczuć mu, sądzić i przebaczać.

To samo dotyczy środowisk, kręgów życia, zawodów. Aktor poznaje je osobiście i od wewnątrz. Grając role ludzi, którzy do nich należą, zaczyna rozumieć ich stosunek wzajemny i wzajemną współzależność.

Nie można dość silnie podkreślić tej humanizującej roli teatru amatorskiego.

B

Aktor-amator wczuwa się w wyimaginowanych ludzi, w ich losy i czyny, nie tylko dla siebie, ale i dla innych. Tym różni się od czytelnika. Czytelnikowi wystarczy skupienie i odrobina wyobraźni, aby „wzrokiem wewnętrznym" zobaczyć bohaterów powieści. Bohaterów sztuki aktor musi wcielić, musi upostaciować samym sobą: oddać im na chwilę swoją duszę i ciało, w ich imieniu czuć, poruszać się, oddychać — żyć ich życiem.

Jakkolwiek ludzie z granej sztuki są tworami fantazji autora, nie podobna nadać im rzeczywistego kształtu inaczej, jak tylko szukając w rzeczywistości materiału, wskazówek, wzorów. Pociąga to za sobą zaostrzenie stosunku obserwacyjnego do świata i bliźnich. Aktor-amator samowychowuje się w ten sposób do intensywniejszej styczności ze wszystkim, co nie jest nim samym. Staje się jakby bardziej „porowaty", łatwiej przenikalny na to, co go otacza.

Ma to znaczenie poznawcze. Ma także — pośrednio — i znaczenie moralne.

C

Działanie wyzwalające teatru, o którym mówiliśmy poprzednio, zaznacza się w jeszcze większej mierze u aktora, niż u widza teatru amatorskiego. To, co jest trudne, czasem niemożliwe do zrobienia we własnym imieniu, staje się proste w imieniu zmyślonej postaci scenicznej. W ten sposób aktorstwo amatorskie uwalnia ze stłumień, otamowań psychicznych, umożliwia przełamanie zapór, odgradzających jednostkę od świata i innych ludzi. Zauważono, że osoby nieśmiałe dzięki udziałowi w teatrze przezwyciężają to dotkliwe upośledzenie. Często się zdarza, że aktorzy, zwłaszcza dzieci, wyzbywają się na scenie niedoborów wymowy, — oczywiście jeśli ich źródło jest psychiczne, a nie organiczne.

Ale scena amatorska działa wychowawczo także jakby w odwrotnym kierunku, w kierunku samokontroli, panowania nad sobą. Aktorstwo polega w dużym stopniu na zdobyciu pełnej świadomości i pełnej dyspozycji wszystkich swoich odruchów, na nieustannym widzeniu siebie jakby z zewnątrz. Im wyższy jest stopień tej samokontroli, tym aktor ma w sobie samym podatniejsze narzędzie do kształtowania postaci scenicznych. Samokontrola, zdobyta w teatrze, działa także w życiu codziennym. Ułatwia kształtowanie współżycia z innymi.

To podwójne, tylko z pozoru sprzeczne, oddziaływanie teatru doprowadziło do pojęcia teatrolecznictwa. Aktor, reżyser i autor, teatrolog i filozof teatru Jewreinow zawarł to pojęcie w formule: „Teatr leczy aktora, leczy i publiczność". Poświęcił tej sprawie wiele uwagi, zebrał mnóstwo ciekawych doświadczeń i spostrzeżeń. W jednym ze swoich szkiców opisał eksperyment, nazwany „autobiorekonstruktywną maską". Eksperyment polegał na tym, że uczniowie odegrali w stylu „commedia del arte", w improwizowanym przedstawieniu, własne przejścia miłosne.

Wolno żywić wątpliwości co do nadmiernie złożonej terminologii, jak i trudnego, może nawet ryzykownego eksperymentowania, ale to nie powinno zakrywać istoty, — prawdy o leczniczej sile teatru.

D

Poprzednio poczynione uwagi o wpływie teatru amatorskiego na kształcenie smaku, na wyszkolenie zmysłu artystycznego można w stosunku do aktora zilustrować na jednym elemencie: na języku i stylu.

Oczywiście, widz także ulega czarowi żywego słowa, magii, płynącej z rymów i rytmów, z obrazów i porównań. Ale wrażliwy aktor-amator poznaje tę magię od wewnątrz, niejako „od kuchni". Jego stosunek do własnej mowy, do stylu pisarza jest nieporównanie bardziej poufny i świadomy. Aktor, który przejdzie przez „próby analityczne" kilku utworów o pewnej wartości literackiej, odtworzy w nich kilka ról, sprawdzi ich wrażenie na widzach — zaczyna rozumieć istotę sztuki pisarskiej, doceniać i szanować piękność swego języka. Można by to porównać z przyjemnością zegarmistrza, który nie tylko, jak każdy z nas, jest rad, że zegarek dobrze chodzi, ale wie, dlaczego to się dzieje, bo zna na wylot jego ukryty, złożony i subtelny mechanizm.

Udział w teatrze amatorskim ma pod wielu innymi względami podobny wpływ pogłębiający, wychowujący do lepszego rozumienia sztuki. Dobry repertuar i dobry reżyser otwiera aktorowi oczy na tajemnicę kompozycji utworu dramatycznego, tajemnicę tworzenia charakterów, prowadzenia dialogu i tp. Aktor uczy się praktycznie sposobów wywoływania na widowni określonych wzruszeń estetycznych.

Na pewno nie będzie przesady w stwierdzeniu, że stosunek do literatury, do sztuki w ogóle jest inny u kogoś, kto przeszedł przez dobry teatr amatorski, niż u kogoś, komu ta szkoła samowychowania artystycznego była niedostępna.

E

Widowisko amatorskie (jak zresztą każde) wymaga współdziałania wielu ludzi, ścisłego podziału zadań i precyzyjnego ich wykonywania. Jednako ważny jest w nim i reżyser, kierujący wszystkim, i aktor, grający najmniejszą rolę, i inspicjent, który w odpowiedniej chwili wypchnie go na scenę, i ktoś, kto mu uszyje kostium, i ktoś, kto we właściwej chwili przygasi światło czy opuści kurtynę. Wszyscy są tu wzajemnie od siebie zależni, wspólnie nadają sens widowisku. Nie znaczą nic brani każdy z osobna, tworzą rzecz cenną w podporządkowaniu siebie wspólnemu celowi, w zgodnym działaniu.

To, że teatr amatorski jest dziełem zbiorowym, urzeczywistniającym się przez zbiorowy wysiłek, czyni z niego instrument zdolny rozwijać ducha solidarności i współpracy. Pod tym względem można go porównać z zespołowymi grami sportowymi. I tu i tam obowiązuje „team-spirit", duch zespołu. Roz-

strzyga on o wszystkim: o wspólnych osiągnięciach i satysfakcji osobistej.

Włączenie do jednej drużyny sportowej, jak zaprzęgnięcie do współudziału w teatrze amatorskim, wyrównywa, a przynajmniej osłabia różnice pochodzenia, zawodu i td., zachodzące między uczestnikami. Jeśli trwa to czas dłuższy, zespala uczestników więzami koleżeństwa, sympatii i lojalności.

Gdyby uczestnictwo w teatrze amatorskim nie przynosiło żadnej innej korzyści, ten wychowawczy walor uspołeczniający, demokratyzujący — byłby sam jeden dostatecznym uzasadnieniem jego racji bytu.

WZAJEMNE ODDZIAŁYWANIE SCENY I WIDOWNI

W dotychczasowych rozważaniach ze względu na temat przeprowadzono podział na scenę i widownię. Uważny czytelnik jednak zauważył, że poszczególne etapy analizy w oddzielnych zakresach dość ściśle sobie odpowiadają. W rzeczywistości te dwa zakresy stanowią jedną nierozdzielną całość. Dopiero razem: scena, ożywiona przez aktorów-amatorów, oraz widownia, przeżywająca to, co się dzieje na scenie, stanowią teatr amatorski.

Czynny udział w tworzeniu takiego teatru, okres prób, współpraca z innymi może mieć głęboki sens wychowawczy nawet niezależnie od tego, czy dochodzi do publicznego pokazu wyników, niezależnie od tego, czy widowisko jest bardziej lub mniej udane. Ale dopiero postawienie aktorów i widzów twarzą w twarz, sprzęg wspólnego przeżycia, niewidzialny prąd duchowy, który ich obiega, łączy i przenika na wskroś, jest pełnym urzeczywistnieniem teatru amatorskiego, jak w ogóle każdego teatru. Zachodzi tu wpływ nie jednostronny, idący ze sceny na widownię, ale oddziaływanie dwukierunkowe, niejako wymienne.

Można zatem mówić o wzajemnym oddziaływaniu sceny i widowni teatru amatorskiego. Jest ono tutaj silniejsze, bardziej bezpośrednie, niż gdziekolwiek indziej z jednego, zasadniczego względu. Aktorzy teatru amatorskiego są nie w sensie przenośnym czy symbolicznym, ale dosłownym integralną częścią widowni. Powtarza się najbardziej pierwotny układ rzeczy, sięgający najdalszych początków teatru, gdzie aktorzy i widzowie to są ci sami ludzie, gdzie granica między tymi, którzy „grają", a tymi, którzy „oglądają", między „sceną" i „widownią" jest płynna, trudna do uchwycenia. Teatr amatorski przypomina ten pierwotny układ rzeczy przez jednorodność widowni i sceny. Aktorzy są to najbliżsi krewni widzów lub — jak w teatrze środowiskowym (fabrycznym czy żołnierskim) — wiąże ich z widzami wspólnota zawodu lub wspólnota losu i zadania. W znaczeniu dosłownym aktorzy są tutaj „delegatami", „przedstawicielami" widowni.

Ten fakt, na ogół nie dostrzegany, ale bezsporny, podwyższa wychowawcze znaczenie teatru amatorskiego. Im lepsza będzie jakość tego, co dają aktorzy-miłośnicy, im większa będzie ambicja wykonawcza, tym bardziej dobroczynny będzie ich wpływ na własne środowisko. Ale i widownia ze swej strony może oddziaływać dodatnio na teatr amatorski, zgłaszając żądania, dając społeczne potwierdzenie rzeczom dobrym, odrzucając łatwizny. Znakomity twórca teatru i krytyk teatralny Stanisław Koźmian powiedział: „Dobra publiczność — to także szkoła dramatyczna". Te słowa, powiedziane o teatrze zawodowym, stosują się w równej mierze do teatru amatorskiego.

Rola widowni lub, ściślej mówiąc, środowiska, w którym teatr amatorski powstaje, nie ogranicza się tylko do tego. Błędem byłoby utajać, że jako środek samowychowania przedstawia on pewne niebezpieczeństwo; nie jest od nich wolne także samouctwo, t.zn. zdobywanie wiedzy na własną rękę. Największe niebezpieczeństwo stanowi pretensjonalność, kabotyństwo, lokalne „gwiazdorstwo". Występuje to zazwyczaj wtedy, gdy wpływ, wyzwalający jednostkę z otamowań, nie jest w dostatecznym stopniu zrównoważony przez ten rodzaj samokontroli, który nazywa się autokrytycyzmem. Podatne są na to jednostki o niedostatecznie rozbudzonym instynkcie społecznym, zbyt skłonne do zapatrzenia się w siebie, do samozachwytu i samouwielbienia.

W tym zakresie rola widowni może być bardzo znacząca. Jej umiar, krytycyzm, uznanie, kierujące się do wszystkich, a nie skupiające się na „cudownych dzieciach" i „cudownych talentach", — mogą uchronić jednostki od śmiesznego i szkodliwego wypaczenia. Stałe krążenie ludzi między „widownią" a „sceną", ochotnicza wymiana, zwłaszcza na stanowiskach technicznych, jest jak najbardziej pożądana. Podkreśli ona nie tylko faktyczną jedność widowni i sceny amatorskiej, ale podniesie ważność każdego stanowiska, każdej roboty w teatrze, tworzonym dla wspólnej przyjemności i nauki własnym, wspólnym wysiłkiem.

Takie przemieszanie, zrównanie wszystkich powinno być także zasadą, obowiązującą w obrębie zespołu. Ktoś, kto w jednym widowisku grał z powodzeniem rolę główną, w innym powinien z taką samą satysfakcją i gorliwością pociągać za sznurek od kurtyny. Bo — nie można tego dość często powtarzać — w teatrze amatorskim ważna jest całość, dzieło zbiorowe, a nie popis choćby zdolnej jednostki. Jest tak z każdego, nie tylko wychowawczego, punktu widzenia.

Teatr amatorski spełnia bez reszty swoją rolę dopiero wtedy, gdy scena, zespół amatorski, ma ambicje dodatniego wpływania na swoje środowisko, gdy widownia nie jest bierna, ale działa kontrolująco i pobudzająco na zespół. Dopiero krążenie, przenikanie się, równoważenie oddziaływań rozstrzyga o pełnej wartości wychowawczej teatru amatorskiego. Ono stanowi także tajemnicę, urok i sens każdego dobrego widowiska.

ŻYWY MOTYW

Wszystko, co dotąd powiedziano, ma charakter teoretyczny i oderwany. W takiej mierze, w jakiej jest słuszne, stosuje się do każdego miejsca, środowiska i czasu. Rzeczywiście teatr amatorski jest zjawiskiem dawnym i powszechnym, dawniejszym, niż teatr zawodowy, i bardziej niż on upowszechnionym. Jego powstawanie wywołują impulsy stałe i głęboko osadzone w duszy ludzkiej.

Ale ta sprawa „przyczyn pierwszych" teatru jest dla naszego zadania dosyć obojętna. Ważniejszy jest

motyw żywy, aktualny, pobudzający powstawanie teatru w danej chwili i w danym miejscu, w określonych okolicznościach życia.

Do wyśledzenia i wskazania tego motywu może pomóc masowy rozwój scen amatorskich w Stanach Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii. Od kilkudziesięciu lat ma on w tych krajach charakter żywiołowy. O ile w Rosji jest to ,,rozwój" pobudzany sztucznie, organizowany od góry, bezwzględnie podporządkowany monopartii i jej celom politycznym, o tyle w obu krajach zachodnich jest on czymś bijącym z wnętrza duszy zbiorowej niby studnia artezyjska. Kilka szczegółów statystycznych i trochę wskazówek bibliograficznych o tej pasjonującej sprawie zainteresowany czytelnik znajdzie w książce zbiorowej, wydanej przez Stowarzyszenie Polskich Kombatantów p.t. ,,Teatr amatorski".

Jaki jest motyw bezpośredni tego zjawiska w Ameryce i na Wyspach Brytyjskich? Wolno wyrazić przypuszczenie, że w tych obu krajach działają motywy odmienne.

W Nowym Świecie ruch amatorski stanowi przeciwwagę racjonalistycznej standaryzacji i mechanizacji. W Wielkiej Brytanii w tym ruchu znajduje ujście tłumione życie emocjonalne i uczuciowe, stanowi on ucieczkę od nadmiernej reglamentacji osobistego bytu jednostki. Amerykanin, skazany przez cały dzień na życie wśród maszyn, na pracę jednostajną, duchowo wyjaławiającą, znajduje w teatrze amatorskim żywego człowieka, barwną rozmaitość, radosną przygodę. Brytyjczyk wyzwala się w tym teatrze z rezerwy, z powściągów, narzuconych mu przez szkołę i obowiązujących w codziennym istnieniu, wyżywa się z uwierającego nadmiaru uczuć.

Podobny motyw żywy pobudza od lat samorzutny ruch teatrów amatorskich wśród dawnej emigracji polskiej i równie samorzutnie zaczynający się pęd w tym samym kierunku wśród emigracji nowej. Wyraża się w nim ucieczka od uciskającej obcości, potrzeba dania upustu tęsknocie, potrzeba wyżycia się w świecie własnej mowy, rodzimego obyczaju, swojskich ludzi.

Jeśli rozpoznanie motywu, pobudzającego wśród nas powstawanie scen amatorskich i uzasadniającego ich szczególną rację bytu, jest trafne, staje przed nimi zadanie niezmiernie pociągające i doniosłe. Z przyjętego tutaj punktu widzenia można by to zadanie scen amatorskich na obczyźnie określić najszerszą, wszystko obejmującą formułą: wychowanie do polskości, w polskości, dla polskości.

ANNA BOGUSŁAWSKA

O dostosowanie prac społecznych do życia

Artykuł dyskusyjny

Myślę, że nie można zrozumieć trudności, na jakie natrafia oświatowiec w swej pracy w polskich hostelach w Anglii, jeśli się nie wniknie dokładnie w warunki życia i pracy ich mieszkańców. Kto wie, czy wielu pracowników oświatowych, narzekając na bierność i brak zainteresowań u otoczenia, orientuje się, gdzie leżą tego przyczyny.

PRACA FIZYCZNA ZMECHANIZOWANA

Ogromna większość mężczyzn i kobiet w hostelach, zarówno inteligencji, jak i ludzi prostych, pracuje po fabrykach. Ich zajęcie — to praca fizyczna i zmechanizowana. Większość zajęć wymaga pozostawania na nogach przez cały dzień roboczy. Najczęściej w zakres prac wchodzi dźwiganie ciężarów, przewożenie, ładowanie itp. Znajomy mój ,,A" ma pracę lekką: siedzi na stołku i dogląda maszyny, zwijającej druty do kondensatorów. Podczas dnia roboczego podnosi jednak około 20 razy zwój drutu o wadze 180 funtów. Znajomy ,,B" jest magazynierem, nie dźwiga tak wielkich ciężarów i nawet są chwile, kiedy nic nie robi, ale przez cały dzień roboczy nie wolno mu ani na chwilę usiąść. Inni stoją przez cały dzień w wodzie. Wszyscy przyjeżdżają po pracy bardzo zmęczeni. I z tego zmęczenia — zmęczenia fizycznego — zdaje się, daleko trudniej otrząsnąć się, niż ze zmęczenia pracą umysłową. Po tej ostatniej wystarczy nieraz zmiana zajęcia, odwrócenie uwagi, aby znużenie ustąpiło. Po pracy fizycznej nie tak łatwo rozprostować kark.

Drugą cechą pracy fabrycznej jest nuda. Czynność jest zawsze ta sama, maszyna jest zawsze ta sama, nic się nie dzieje, pracują tylko ręce, myśl nie ma się za co zaczepić. W pracy fabrycznej robotnik się nie wyżywa. Jest najczęściej robotem i ma pracować jak robot.

Obserwowałam wyżej wspomnianego ,,A" w początkach jego pracy w fabryce. Był zadowolony. Obsługiwanie maszyny, którą mu przydzielono, było dość skomplikowane, cieszył się, że idzie mu to coraz szybciej, coraz sprawniej, ,,bawiło go" to. Po dwu czy trzech miesiącach osiągnął pełną sprawność, a jeśli chodzi o tempo, zaczął prześcigać kolegów. W tej chwili oblicza, że gdyby to było możliwe, mógłby do drugiej wyrobić swą normę i iść do domu. Ponieważ jest zobowiązany siedzieć do szóstej i ponieważ nie chce ściągać na siebie niechęci innych zbyt pospieszną pracą, rozmyślnie marudzi, co męczy go jeszcze więcej. Wieczorem jest zupełnie ,,do niczego". Nigdy nie ma nic do opowiedzenia. Czas przy pracy jest pustką i nic na to nie można poradzić.

CZAS PRACY

W Polsce przed wojną robotnik pracował od 7 rano do 4 po południu. Tutaj, licząc z przerwą na obiad, przebywa w fabryce przez pięć dni w tygodniu od ósmej rano do szóstej po południu. Jednak dla ludzi, posiadających obowiązki rodzinne, i ten czas jest fikcją. Większość robotników w fabrykach angielskich dorabia, wypracowując godziny nadliczbowe. Nie będzie zdaje się przesadą twierdzić, że większość pracuje w dni powszednie od 7 rano do 6 wieczorem i w sobotę od 7 do 1 W wielu fabrykach można odrabiać ,,owertajmy" i w niedziele.

W polskich hostelach do godzin tych dochodzą przejazdy do miejsca pracy, które trwają często do godziny w jedną stronę. Np. w jednym z hosteli, w których pracowałam, siedemdziesiąt dziewcząt jeździło co dzień autobusami 45 minut do zatrudniającej je szwalni. Autobusy były pełne spalin i wiele dziewcząt miewało w drodze torsje.

Tak więc autobusy zabierają robotników z hosteli do fabryk między 6 a 7 rano i odwożą między 6 a 7 wieczorem. Praca z dojazdem trwa 12 do 13 godzin. Jak mało czasu pozostaje na właściwe życie!

OBOWIĄZKI ŻYCIA RODZINNEGO

Dla kobiet zamężnych przymus pracy nie istnieje. Jednakże ogromna część ich pracuje na równi z mężami, bo — jak mi mówiły — gdy pracuje jedynie mąż, są wprawdzie pieniądze na najkonieczniejsze potrzeby, ale brak ich na owoce dla dziecka, na ubranie i na jakiekolwiek rozrywki.

Matka, jadąc do pracy, oddaje dziecko do żłóbka lub przedszkola. Po powrocie czeka ją w domu mnóstwo roboty, sprzątanie, przyrządzanie jedzenia.

Najczęściej w tych warunkach część prac domowych przejmuje mężczyzna, gdyż kobieta nie może wszystkiemu podołać. A więc czynności domowe wypełniają ludziom rodzinnym niemal całą resztę tego czasu, który im pozostawia fabryka.

MOŻLIWOŚCI KULTURALNE I OŚWIATOWE I ICH WYZYSKIWANIE

Jeśli się nie wniknie w te okoliczności, trudno doprawdy zrozumieć, dlaczego wielkie okazje dopełniania swego wykształcenia czy organizowania i brania udziału w kulturalnych rozrywkach najczęściej nie są należycie wyzyskane. W większych hostelach jest kierownik oświatowy, nauczyciele angielskiego, instruktorzy, sprzęt. Mimo to, gdy się coś organizuje — trzeba ludzi ciągnąć niemal siłą.

Są jednakże rzeczy, które przyciągają zawsze: teatr, najchętniej widziany w soboty i w niedziele (w wielu hostelach w inne dnie nie udaje się zupełnie), wypożyczalnia książek i kilka razy do roku obchody patriotyczne. Teatr i beletrystyka przenoszą z życia w świat fikcji, kompensują szarzyznę życia — i jest oczywiste, że tego ludzie potrzebują najwięcej. 20 do 30% ludności hostelów korzysta z teatru i 10 do 12% z biblioteki. Dla porównania dodam, że Anglicy uważają za zadowalające, kiedy z biblioteki publicznej korzysta 10%.

Obchody patriotyczne dają naiwny może, ale szczery wyraz postawie uczuciowej mieszkańców (bo nasze hostele są pełne gorących patriotów) i... także może przenoszą w kraj marzeń — o przeszłości i przyszłości.

Gorzej już jest z przygotowywaniem obchodów. Trzeba namawiać, prosić, a często dosłownie wyciągać z baraków wykonawców na próby. Nauczenie się na pamięć jest trudnością niemal nie do pokonania. Ludzie chcą się rozerwać, chcą odejść od szarzyzny życia, ale bronią się ze wszystkich sił przed wszystkim, co wymaga od nich wysiłku. Biorąc pod uwagę warunki, trudno się temu dziwić. Trzeba jednostki o wyjątkowej energii i sile charakteru, aby ten stan rzeczy przezwyciężyć.

To samo daje się zauważyć przy organizacji kursów, lekcji, przedstawień amatorskich.

CZY NIE CHODZIMY PO CHMURACH

Sprawę pogarsza to, że my, Polacy, zawsze jesteśmy trochę poeci. Hasło: „Mierz siły na zamiary" ciągle jest dla nas aktualne i wszystko radzi byśmy podciągnąć jak najbardziej w górę. Dlatego kierownictwo instruuje oświatowców, że powinni oni być tylko inspiratorami, organizatorami, bezpłatnymi zaś wykonawcami winna być ludność hostelu. Niestety, w środowiskach, gdzie wszyscy pracują, jest to niewykonalne i oświatowiec zwykle musi robić wszystko sam — od wypożyczania książek do dekorowania i wbijania gwoździ w ścianę.

Kiedy organizuje się w hostelu przedstawienie, to konieczne jest mnóstwo prób i wyuczanie się długich ról na pamięć. Takie przedsięwzięcia rzadko kiedy dochodzą do skutku.

Kursy wieczorowe w hostelach (kursy kroju i szycia, tkactwa, wyrobów ze skóry i innych) to poważna, podstawowa nauka, zajmująca pięć razy w tygodniu po trzy godziny. Lekcje angielskiego wymagają również przychodzenia 3 do 5 razy w tygodniu.

U ANGLIKÓW

Jak inaczej podchodzą do tych spraw Anglicy, o ile bardziej liczą się oni z warunkami życia.

Ich uniwersytety ludowe — to wykonywanie dla siebie użytecznych przedmiotów pod kierunkiem instruktorki. Wymagana od uczestników obecność: jeden wieczór w tygodniu.

Ich „teatr", organizowany przez biblioteki publiczne i cieszący się, nawiasem mówiąc, wielkim powodzeniem, to odczytywanie ról z egzemplarzy książki, bez dekoracji, bez kostiumów. Oczywiście nie jest to bardzo efektowne, ale zapoznaje z literaturą, a wymaga minimalnego wysiłku, nie więcej niż dwu— trzech prób. Jednoaktówki odgrywa się w środowiskach angielskich podczas zabaw, w przerwach między tańcami, też na pół je improwizując. Zabawy te są urozmaicane również grami towarzyskimi o dużej wartości wychowawczej.

REASUMUJĄC

Kiedy myślę o tym wszystkim, przypomina mi się pewna dyskusja między dwoma polskimi działaczami spółdzielczymi — realistą i entuzjastą, — której byłam świadkiem przed kilkunastu laty i która utkwiła mi w pamięci. Pan praktyczny, po przyjeździe z Francji, informował o tym, że spółdzielcy francuscy przemienili wydawane przez siebie czasopismo spółdzielcze na zwykły dziennik o nastawieniu spółdzielczym. Przekonywał on działacza-entuzjastę, że to jest słuszna droga, że nieskończenie zwiększyło to poczytność, że i w naszym piśmie należałoby pisać o wszystkim, a wiadomości spółdzielcze raczej przemycać, tym bardziej, że polskiego chłopa i robotnika nie stać najczęściej na pismo ogólne. Pisać o wszystkim!? — uniósł się pan entuzjasta. — Ani linijki nie ustąpię! Mam tyle materiału spółdzielczego, że i tak nie mogę go zmieścić!

Pismo spółdzielców francuskich rozchodziło się w kilkudziesięciu tysiącach egzemplarzy, w nasze — często nieprzeczytane — sprzedawcy zawijali towary. Dobrze jest, jeśli pracownik oświatowy znajdzie w hostelu kilku współpracowników wśród ludności, ale na ogół nie można na to liczyć i dlatego robota musi być planowana w miarę możliwości i sił. Spotkałam się z tym wielokrotnie, że ludzie ustosunkowują się wrogo do wszelkich zamachów na ich czas wolny i traktują je jako spychanie cudzych obowiązków na nich. Dobrze jest, jeśli pracownik oświatowy może być duszą pięciu stowarzyszeń, jeśli potrafi postawić na wysokim poziomie teatr amatorski i wytworzyć czynną postawę społeczną u mieszkańców hostelu, ale myślę, że należałoby ustanowić hierarchię potrzeb i dbać przede wszystkim o to, czego ludzie najbardziej potrzebują: bibliotekę, teatr, sporty i rozrywki. Obawiam się trochę, że wskutek zbyt szerokich ram pracy (nakreślanych zresztą pod naciskiem z góry) biblioteki — placówki, wymagające dużego nakładu nieefektownej pracy — pozostawiają w hostelach wieledo życzenia.

Ludzie nasi na ogół nie umieją się bawić. Poza tańcem przy alkoholu, który przynoszą na zabawy hostelowe w kieszeniach, wszystko ich nudzi. Zabawy Anglików, urządzane przez organizacje społeczne, mogłyby w tym przypadku podsunąć niejeden szczęśliwy pomysł. Czynnikiem, urozmaicającym zabawy, mogłyby stać się tańce polskie, które na ogół są przyjmowane chętnie i dają wiele radości. Niestety, niewszędzie znaleźć można instruktora na odpowiednim poziomie. Za tańcem ludowym podąża, oczywiście, piosenka. Doświadczenie obozowe wykazuje, że daleko łatwiej trafić do ludzi przez łatwe formy muzyczne, niż przez odwoływanie się do ich zainteresowań umysłowych.

W każdym razie trzeba się liczyć z możliwościami. Ludzie są przepracowani, a pracownik oświatowy jest ostatecznie także człowiekiem. Lepiej mniej, a dobrze i bez kuszenia się o efekt.

TADEUSZ FELSZTYN

Koła wiedzy ścisłej

Od chwili wybuchu wojny dzieli nas już przeszło dziesięć lat. W tym czasie z książką, z nauką niewielu z nas mogło mieć do czynienia. Wpierw walka, poniewierka, praca przymusowa, a potem trudne warunki życia i konieczność ciężkiej walki o byt w obcym otoczeniu i obcym środowisku — oto warunki, nauce bynajmniej nie sprzyjające. Nawet ci z nas, którym przychylne losy naukę umożliwiły, rzadko kiedy mieli możność posługiwania się nowoczesnym podręcznikiem, lub też sięgnięcia do źródeł najnowszych.

A w czasie tych dziesięciu lat nauka poszła szybkimi krokami naprzód. Techniczny i naukowy charakter ostatniej wojny zmusił wszystkie walczące państwa do wielkiego wysiłku w tym kierunku. Radar, bomba atomowa, samolot rakietowy — oto widome znaki owej wielkiej przemiany. Osiągnięte w czasie wojny wyniki zaczęto stosować i do życia codziennego. A równocześnie państwa, nauczone, jakie znaczenie może mieć nauka w grożącej im rozprawie przyszłej, nie szczędzą dziś środków na jej rozwój.

Wiedza idzie milowymi krokami naprzód. A z nią razem ulegają zmianie i nasze poglądy na świat i na wszystkie niemal w nim zachodzące zjawiska. Materialistyczny, uproszczony pogląd, jaki panował w wieku poprzednim i jaki stanowił podstawę nauczania w szkołach prawie do ostatnich czasów przed wojną, ustąpił obecnie znacznie szerszemu spojrzeniu na rzeczywistość, która nas otacza. Im więcej ją poznajemy, tym bardziej stajemy się świadomi, jak daleko nam jeszcze do prawdziwej wiedzy i jak naiwne były zachwyty uczonych zeszłego wieku nad ich własną mądrością.

Poznanie więc stanu obecnego wiedzy staje się rzeczą dużej wagi dla każdego człowieka myślącego. Ono tylko potrafi nam wyjaśnić prądy, jakie ożywiają dzisiaj tak zwany „świat zachodni".

Poznanie nowoczesnych prądów w nauce jest nie tylko przyjemnością osobistą każdego myślącego Polaka na wychodztwie, ale również w dużej mierze i jego obowiązkiem. Dla olbrzymiej większości z nas pozostanie poza Krajem było wynikiem świadomości, że mamy ważne zadanie do wykonania.

Naszą jest rzeczą wchłaniać w siebie wiedzę, by kiedyś stać się jej krzewicielami.

Aby to zadanie wypełnić, zakładajmy „Koła wiedzy ścisłej".

Forma pracy zależeć będzie oczywiście od warunków lokalnych. Nie potrzebne są żadne ramy sztywne, żadne statuty, zarządy i tym podobne obrzędy zewnętrzne. Po prostu grono chętnych zbiera się razem. Niech ktoś, kto lepiej się w sprawie orientuje, przeczyta innym artykuł w „Poradniku Świetlicowym" i w miarę sił niech go objaśni. Pojawią się niewątpliwie wątpliwości i zapytania. Na jedne uda się odpowiedzieć od razu, na inne dopiero może po przeczytaniu jakiegoś podręcznika, których wykaz podawać będziemy na końcu każdego artykułu. Może wreszcie powstaną pytania, na które nikt nie będzie mógł odpowiedzieć. Wtedy po prostu pytania te, spisane razem, należy wysłać do redakcji „Poradnika", która będzie na nie odpowiadać w następnych numerach pisma bądź indywidualnie, bądź w jednym z dalszych artykułów. Wreszcie może znajdą się zapytania, nie związane z tematem przeczytanego artykułu. I na nie również Redakcja będzie odpowiadała bądź doraźnie, bądź też włączy je w program artykułów późniejszych.

Wykaz podręczników podawać będzie przede wszystkim książki angielskie. Dostarczyć ich może każda wypożyczalnia publiczna. A w przypadku, gdyby nie miała ona tej książki na składzie, bibliotekarz sprowadzi ją na nasze żądanie z innej wypożyczalni.

WIECZORNICE

materiały i pomoce

DRZYMALSKI, TY CHCESZ SIĘ ŻENIĆ!

Inscenizacja według noweli Bolesława Prusa, opracowała A.B.

Inscenizacja ta została opracowana według nowelki Bolesława Prusa p.t. „Podwójny człowiek” dla urozmaicenia zabawy świetlicowej. Role poszczególnych osób, o ile opanowanie pamięciowe natrafia na trudności, mogą być odczytane.

Wskazane jest, aby osoba wprowadzająca powiedziała parę słów na temat epoki, w której akcja się odbywa, (przełom XIX i XX w.), i wskazała rysy charakterystyczne, m. in. ten, że trzydziestoletnia kobieta uchodziła już wtedy za matronę lub starą pannę i ubierała się w ciemne kolory, a mężczyzna, który piętnaście lat temu tańczył na wieczorkach jako młody człowiek — był „starym kawalerem”.

O ile to jest możliwe, dobrze byłoby zaznaczyć epokę przez długą, ciemną suknię i kok na czubku głowy panny oraz sumiaste wąsy i staroświeckie tużurki u panów. Jeżeli ta charakteryzacja natrafiałaby na trudności, osoba wprowadzająca może wspomnieć tylko na wstępie o tych szczegółach.

Obrazek nie wymaga kurtyny ani dekoracji, można jednak zaznaczyć jakieś szczegóły dekoracyjne, dopomagające wyobraźni.

Osoby:

Drzymalski — stary kawaler, emeryt, człowiek skromny i niepozorny,

Niedojdziewicz — jego przyjaciel, zażywny szlachcic wiejski,

Panna Anna — stara panna po trzydziestce.

Ojciec Anny — suchy staruszek.

Kelnerzy,

Wprowadzający (*o ile stosujemy dekoracje, słowa jego można pominąć*).

Scena I.

Wprowadzający: Jesteśmy w Warszawie, w Ogrodzie Saskim (*usuwa się*).

Drzymalski przechadza się. Wchodzi Niedojdziewicz.

Niedojdziewicz (*zastępując drogę Drzymalskiemu i wyciągając ręce*) Drzymalski!

Drzymalski (*budząc się z zamyślenia, z radością w głosie*) Niedojdziewicz!

Niedojdziewicz: We własnej skórze! (*padają sobie w objęcia*)

Drzymalski: Skądże się wziąłeś w Warszawie i do tego w ogrodzie?

Niedojdziewicz: Wczoraj przyjechałem do miasta, a dziś byłem u ciebie w domu. Służąca powiedziała mi, że zastanę cię tutaj, między studnią a wodą sodową. No i zgadła. Jesteś regularny jak zegarek.

Drzymalski: Żaden szlachcic nie zalega tak regularnie w długach, jak ja spełniam swoje obowiązki. Prowadzę życie systematyczne. Tu na przykład bywam codzień od dziesięciu lat. Ale chodźże, usiądźmy tu w cieniu, na ławce. (*siadają*).

Niedojdziewicz: Boże miłosierny! I to cię nie nudzi?

Drzymalski: Ja czasami tęsknię, ale nigdy się nie nudzę, bo we mnie jest dwu ludzi, którzy ciągle sprzeczają się ze sobą. No, a w moim wieku nie ma przyjemniejszej rozrywki niż ożywiona dyskusja.

Niedojdziewicz: Ale tak na serio, co tu robisz codzień?

Drzymalski: Cieszę ludzi moim widokiem i niekiedy marzę.

Niedojdziewicz (*ze zdziwieniem*) Ty?...

Drzymalski: Czy mi nie wolno? Jestem przecież pełnoletni.

Niedojdziewicz: I bardzo. Ale o czym marzysz?

Drzymalski: Niekiedy podziwiam dobrotliwą Opatrzność, która nad każdą ławką w Saskim ogrodzie stworzyła drzewo, aby ludzie mieli dosyć cienia... (*patrzy w górę*).

Niedojdziewicz (*niedowierzająco*) Ejże?!

Drzymalski: Zwykle zaś pieszczę się i dręczę widokiem przechodzących kobiet. O, spojrzyj na przykład na tę (*wskazuje oczami*). Czy nie piękna? Blondynka, ciemno-szare oczy, grecki profil, a jaki rzut nogi!... Zdaje mi się, że za jeden jej pocałunek oddałbym życie. Ale wnet przypominam sobie, że ona takiego jak ja nie pocałowałaby nawet za turkusowe kolczyki. Moje zaś dochody nie pozwoliłyby mi ofiarować jej brylantowych.

Niedojdziewicz: Kpisz ze mnie!

Drzymalski (*z wejrzeniem pełnym smutku*) Mówię zupełnie serio. Ale jestem jak człowiek śmiechu. Kiedy mi serce pęka, ludzie myślą, że kpię z nich.

Niedojdziewicz: Zawsześ był dziwak, ale nie wiedziałem, że obudził się w tobie gust do kobiet.

Drzymalski: Gust? Powiedz: namiętność!... Od piątej klasy ginąłem za kobietami, kochałem się jak Romeo — ale po cichu, wiedząc, że żadna nie odpłaci mi wzajemnością. Tak głupiej nie ma w Warszawie, a na prowincję nie chce mi się jechać.

Niedojdziewicz: Zechciej się tylko ożenić, a sto wyjdzie za ciebie, nawet w Warszawie.

Drzymalski: Dajże spokój. W ciągu piętnastu lat starokawalerstwa oświadczyłem się czterem i żadna się nie złapała. Śmiały się, gdy ze łzą w oku opisywałem im interesujący stan mojej duszy.

Niedojdziewicz: A dlaczego nie zwracałeś się nigdy do Anny?

Drzymalski (*powstając z miejsca, niespokojnie*) Jakiej Anny?

Niedojdziewicz: Siostry mojej żony.

Drzymalski: Siostry twojej żony?! (*przechadza się z oznakami wzburzenia*).

Niedojdziewicz: Co się stało?... Czemu latasz jak wariat?

Drzymalski (*zatrzymując się*). Posłuchaj mnie: jesteś jedynym moim przyjacielem, jeśli w ogóle mogę mieć przyjaciół — ale mimo to zrobiłeś mi wielką przykrość...

Niedojdziewicz: Przykrość?

Drzymalski: Niezmierną. Czy pomyślałeś, że ja od piętnastu lat kocham — nie, uwielbiam Annę?!... (*siada*) To moja pierwsza i jedyna miłość... I kto wie, czy dziś nie byłbym innym, gdybym się z nią ożenił.

Niedojdziewicz (*żegna się*) W imię Ojca i Syna!... Więc dlaczego nigdy nie wspomniałeś o tym afekcie?

Drzymalski: Nie śmiałem. Piętnaście... ech... co ja mówię? sto razy chciałem się o Annę oświadczyć, ale słowa więzły mi w gardle. Siedzisz całe życie na wsi i myślisz tylko o tym, ażeby co rok mieć dziecko, nie masz więc pojęcia, jak wstydliwe jest prawdziwe uczucie. Ale gdybym ci przeczytał sonety, które na jej cześć pisałem, zapłakałbyś... Taką lichą mają formę obok głębokiego uczucia...

Niedojdziewicz (*kręcąc głową*) Mój drogi, drwisz ze mnie. Mówisz, żeś kochał jedną tylko Annę, a... oświadczyłeś się czterem innym pannom...

Drzymalski: Z rozpaczy i dla wprawy. Kto nie może utopić się w oceanie, ten skacze do studni.

Niedojdziewicz: Dajmy na to. Ale kiedy już nabyłeś wprawy?

Drzymalski (*z przekonaniem*) Nie śmiałem zwracać się do panny Anny, dostawszy odkosza od innej. (*patrzy na zegarek, zawieszony na dewizce u kieszeni tużurka*). No, ale jest już druga, więc idźmy na obiad. Dziś wyjątkowo pójdę do lepszej knajpy i proszę cię ze sobą. (*wstaje*).

Niedojdziewicz: Obiecałem Anusi, że u nich będę na obiedzie. Ale mniejsza o to. Poślę kartę przez posłańca, a tymczasem — pogadamy. Może cię ożenię.

Drzymalski: Prędzej wsadzisz mnie na szczyt ratuszowej wieży.

Niedojdziewicz (*na stronie*) Dziwak, wielki dziwak. Ale... jeżeli się ożeni, to może się odmienić.

(*wychodzą*)

Scena II.

Dwaj kelnerzy wnoszą stolik, ustawiają nakrycia.

Wchodzą Niedojdziewicz i Drzymalski.

Drzymalski: Proszę cię, siadaj.

Niedojdziewicz: Pozwolisz, że napiszę do Anusi słów kilka.

Drzymalski: A ja zamówię obiad.

Kelner (*wchodzi i staje w pozycji oczekującej*)

Drzymalski (*bębniąc palcami w stół*) Daj nam pan... Daj nam pan... barszczu... polędwicę... A rybę macie jaką? Jestem dziś tak wzruszony, że muszę jeść rybę.

Kelner: Jest sandacz z jajami.

Drzymalski: Bardzo dobrze. Daj pan sandacza. A ze zwierzyny?

Kelner: Może być pieczeń sarnia.

Drzymalski: Wybornie, więc i pieczeń sarnią, byle nam ze stołu nie uciekła.

Kelner: Wódkę podać przed obiadem?

Drzymalski: Owszem, daj nam pan starki i ćwierć funta kawioru. Obiad bez wódki jest jak dorożka bez stopnia.

Kelner (*jak wyżej*) Wino będzie jakie?

Drzymalski: Może być sotern, a potem zobaczymy.

Kelner: Po obiedzie czarna kawa i likier?

Drzymalski: Obiad bez kawy jest jak krzesło bez poręczy. Zapisuj sobie pan moje dowcipy, będziesz miał reputację. (*Kelner kłania się, wychodzi, przynosi potrawy i trunki*).

Niedojdziewicz (*do kelnera*) Ten bilet proszę wysłać zaraz przez posłańca (*podaje list*).

Drzymalski (*napełniając kieliszki*) W twoje ręce (*trącają się i piją*).

Niedojdziewicz (*rozanielony*) Mocna starka.

Drzymalski: Jeszcze jednego (*ponownie napełnia kieliszki*).

Niedojdziewicz: Za zdrowie panny Anny! (*piją*). Powiedzże mi krótko — boć znamy się od dzieci, a kochamy jak bracia... Chcesz się żenić czy nie?... Ale krótko.

Drzymalski: Diabli wiedzą... Znasz moje najgłębsze uczucia, więc sam osądź...

Niedojdziewicz: Zatem chcesz się żenić, Józefie! Ty chcesz!...

Drzymalski: Nie wiem. Serce mówi tak, a rozum przypomina, że w małżeństwie są duże obowiązki. Trzeba być nietylko punktualnym, lecz i entuzjastą. Napijmy się. (*Nalewa kieliszki piją*).

Niedojdziewicz: Józiu!... Drzymalski... Znamy się od pierwszej klasy... Ty byłeś naprzód moim kolegą, ale że ja siadywałem w każdej klasie po dwa lata, więc zostałeś moim korepetytorem. Zawsze jednak... Józiu, patrz mi w oczy!... Zawsze jednak byliśmy przyjaciółmi. Otóż ja, Niedojdziewicz, jako twój najserdeczniejszy przyjaciel, mówię ci: Drzymalski, ty chcesz się żenić!... Prawda że w tobie siedzi jakiś przekorny diabeł i nie wiadomo, kiedy kpisz, a kiedy mówisz prawdę, ale ja cię znam... Ty chcesz się żenić i tobie dobrze zrobi małżeństwo!

Drzymalski (*marzy głośno*) Patrząc w salonie na młode kobiety, na ich piękność, ruchy, ich strój tak ponętny, rozumiem, że na świecie nie ma doskonalszej istoty nad kobietę. Czasami ogarnia mnie taki żal, że boję się rozpłakać i uciekam...

Niedojdziewicz: Józiu, tobie koniecznie trzeba żony... Ona by ci świat umiliła!

Drzymalski: Ale kiedy znowu pomyślę, że pewnego dnia mógłbym w swoim pokoju zobaczyć suknie porozwieszane na drzwiach, kaftaniki na bibliotece, chusteczki na parawanie — zimno mi się robi. Kobiety mają za dużo garderoby!... (*nalewa kieliszki, piją*).

Niedojdziewicz: Garderoba nie stanowi kobiety.

Drzymalski: To wcale nie dodaje mi odwagi.

Niedojdziewicz (*podnosząc palce w górę*) Więc ja cię wyręczę!

Drzymalski: W czym?!

Niedojdziewicz: Oświadczę się w twoim imieniu Annie!

Drzymalski: Czyżbyś to zrobił?

Niedojdziewicz (*z pewnym trudem unosi się z kanapy*) Nawet dzisiaj, w tej chwili!

Drzymalski (*powstrzymuje go*) Pierwej skończmy obiad. Dobry obiad jest gwarancją powodzenia w miłości (*zamyśla się*). Lubo niezawsze.

Niedojdziewicz (*uderza pięścią w stół*) Obiad skończymy, ale oświadczymy się dziś!

Drzymalski: Nie mam odwagi...

Niedojdziewicz: Trzeba raz skończyć!...

Drzymalski: Nie ośmielę się!...

Niedojdziewicz: Z oświadczynami robi się tak jak z wyrwaniem zęba. Powiedz sobie: rwę dziś, za godzinę i basta!... Za godzinę będziesz po słowie z Anną...

Drzymalski (*desperacko*) Odrzuci mnie!

Niedojdziewicz: Pójdzie za ciebie z pocałowaniem ręki. Za późno na grymasy, kiedy się dobiega trzydziestki.

Drzymalski: No, Anna już przewaliła trzydziestkę.

Niedojdziewicz: Jest znacznie młodsza od ciebie.

Drzymalski: Bagatela. Mniejsza jednak o lata panny Anny, ponieważ czuję, że i w tym wieku, jaki ma, zrobiłaby mi łaskę, wychodząc za mnie. Nie jestem jej wart!

Niedojdziewicz (*podniesionym głosem*) Wart jesteś — boś mój kolega i przyjaciel! Jeszcze kieliszek i idziemy w konkury...

Drzymalski: Jakto? Zaraz?

Niedojdziewicz: Natychmiast! Z oświadczynami jak ze rwaniem zębów...

Drzymalski: Ależ ja mam na sobie stary tużurek...

Niedojdziewicz: Do dentysty biegłbyś i w szlafroku, gdyby cię przycisnęło.

Drzymalski (*rozpaczliwie*) Zresztą muszę pomyśleć...

Niedojdziewicz (*unosząc się z kanapy*). Kochasz Annę czy nie?

Drzymalski: Miłość jej zatruła mi piętnaście najpiękniejszych lat życia!

Niedojdziewicz: A więc basta! Piję za zdrowie twojej narzeczonej, a siostry mojej żony...

Drzymalski (*krztusząc się winem ze wzruszenia*) Gubisz mnie!

Niedojdziewicz (*biorąc Drzymalskiego pod ramię*) Teraz idźmy!

Drzymalski (*chwyta się za poręcz kanapy i opiera*) Trupa mojego weźmiesz stąd!

Niedojdziewicz (*który trochę wytrzeźwiał*). Słuchaj, jutro wyjeżdżam z Warszawy, ale dzisiaj chcę cię uratować. Widzę, że się marnujesz w starokawalerstwie i zmarniejesz, więc się decyduj... Albo oświadczymy się o Annę zaraz, albo...

Drzymalski (*błagalnie*) Pozwól mi zebrać myśli...

Niedojdziewicz: Dobrze, wyjdę na pięć minut z tego pokoju, przyślę ci syfon wody selcerskiej, a ty napij się i pomyśl. Albo... albo... (*wychodzi*).

Drzymalski (*do siebie*). Boże mój, co robić? Anioł czy szatan sprowadził mi na kark Niedojdziewicza?... Ten szlachcic rozmarzył mnie, czuję, że odmłodniałem na samą myśl o Annie. Ile wspomnień... Widzę całą moją ubogą młodość, klasy pełne dziecinnych głów, uniwersytet, izbę na poddaszu, gdzie we trzech mieliśmy dwa łóżka i na cały dzień jedną bułkę chleba... A potem Anna... Spotkałem ją na wieczorku, miała tarlatanową suknię i niebieską szarfę. Jak to dawno! Z początku nie zauważyłem jej, ale wypadkiem dotknęła mnie sukienką i spojrzała tak, żem wybiegł do przedpokoju i pocałowałem jakąś pokojówkę. A może ja jej wtedy podobałem się?! A jeżeli... Jeżeli z tego powodu do dziś dnia została panną?... Ba! a narzeczony, który ją porzucił!? Choć i to niczego nie dowodzi: mnie cztery panny odrzuciły, a jednak ją kocham... Gdyby więc i ona mnie kochała, gdybym przy niej odżył i tak codzień widywał moje młode lata jak dzisiaj?... A gdybyśmy mieli dzieci?... Nie, widocznie już zwariowałem!... Ale jeżeli ona mnie kocha? Boże! Jakie straszne wątpliwości!

Niedojdziewicz (*staje we drzwiach*) Tak czy nie?

Drzymalski: Jestem zdecydowany, ale... i pełen sceptycyzmu jak prawdziwy filozof.

Niedojdziewicz: Ubezwładniam cię na godzinę. Bierz paltc• (*Drzymalski ubiera się*) Idźmy.

Drzymalski: Czy tam?

Niedojdziewicz: Nie pytaj.

Drzymalski (*biorąc Niedojdziewicza za rękę*) Zmiłuj się. Jeszcze kwadrans do namysłu.

Niedojdziewicz: Ani sekundy...

Drzymalski (*opierając się*) Zatrzymajmy się, zabije mnie apopleksja...

Niedojdziewicz: Mieszka tam blisko felczer i puści ci krew. (*ciągnie Drzymalskiego*).

Drzymalski (*poddając się*) To by była awantura, gdyby mnie przyjęła! (*wychodzą*).

(*Kelnerzy wynoszą stolik restauracyjny*).

Scena III

Wprowadzający: Niedojdziewicz zadzwonił. W tej chwili drzwi otworzono. Weszli do gabinetu pana domu. (*Niedojdziewicz i Drzymalski wchodzą*).

Niedojdziewicz (*półgłosem*) Połowa tego domu będzie twoją. (*wchodzi ojciec Anny*).

Ojciec Anny (*życzliwie*) Pan Drzymalski! Witam, witam. To mi lokator! Spokojny, punktualny, lubi porządek...

Drzymalski: Nie wiem, czy taką pochlebną opinię podzielałby mój gospodarz.

Ojciec Anny: O, podziela! Mówi, że taki lokator to błogosławieństwo boże. Zazdroszczę mu z całego serca (*Drzymalski kłania się*).

Niedojdziewicz: Może mieć ojciec tego lokatora do końca życia.

Ojciec Anny: Co mówisz? (*z zainteresowaniem*) Siadajcie panowie (*siadają*).

Niedojdziewicz: Tak jest, i nawet przyszliśmy w tym interesie.

Ojciec Anny: Ejże?... Więc on wyprowadza się od Frajtaga? Brawo!...

Niedojdziewicz (*całuje staruszka w ramię i przelotnie spogląda na Drzymalskiego, który siedzi sztywny i zdenerwowany na krześle*) Kochany ojcze, powiem ci bez wstępu: Drzymalski prosi cię o rękę Anny.

Ojciec Anny (*ze zdumieniem, spoglądając na Drzymalskiego*) Czy to być może?

Drzymalski (*ze zdenerwowaniem*) Wiedziałem, że mnie pan dobrodziej odrzucisz. Przynosi to zaszczyt pańskiemu doświadczeniu i dbałości o szczęście córki.

Ojciec Anny (*wciąż jeszcze więcej zdziwiony*). Ależ nie!

Niedojdziewicz: Józef od piętnastu lat kocha Annę, a jeżeli oświadcza się tak późno, to tylko przez nieśmiałość.

Ojciec Anny: Bagatela! Zalegał w oświadczynach sześćdziesiąt kwartałów. Jednak lepiej późno aniżeli nigdy, bo dobry i ten lokator, co długo nie płacąc, chociaż w końcu oddaje. Ale ja mam, panie, takich...

Niedojdziewicz: Więc ojcze, przyjmujesz Drzymalskiego?

Ojciec Anny: Całe piętro mu oddam... (*zastanawia się*) To jest... widzicie tak. Ja zajmuję się tylko kamienicą i zapraszam do niej pana Drzymalskiego, owszem, nawet zniżę mu komorne. Ale czy Anusia przyjmie go za męża, to już jej rzecz.

Niedojdziewicz: A czy jest w domu?

Ojciec Anny: Rozumie się, że jest i nawet pewnie nas podsłuchuje.

Panna Anna (*stając w drzwiach gabinetu*) Ależ papo! Cóż za wyobrażenie będzie miał o mnie pan Drzymalski!

Niedojdziewicz (*kiwając głową, do Anny*) Że nie podsłuchujesz, to wiem. Ale gardło daję, że słyszałaś całą naszą rozmowę.

Panna Anna: Byłoby dziwne, gdybym nie słyszała. Robiąc koronkę, siedzę cały dzień przy tych drzwiach w saloniku, a panowie tak głośno powierzacie sobie tajemnice, że trudno ich nie słyszeć.

Niedojdziewicz: A więc?

Panna Anna (*chłodno*) Co więc?

Niedojdziewicz: Czy przyjmujesz oświadczyny Józefa?

Panna Anna: Czy pan jesteś panem Józefem?

Drzymalski (*podnosząc się z krzesła*) Pani! Do tej pory milczałem, nie mając odwagi prosić pani o rękę. W tej chwili mówię, ale... również czuję, że nie mam odwagi... Skazany na śmierć nie doświadcza takich wrażeń wobec... (*urywa i z otwartymi ustami patrzy na pannę*).

Panna Anna: Dziękuję panu, żeś mnie chciał porównać do kata, ale mniejsza o to. Przede wszystkim witam (*podaje mu rękę*).

Niedojdziewicz: Zdaje się, moi państwo, że najłatwiej porozumiecie się bez świadków. I dlatego pójdziemy z ojcem na półgodzinną rozmowę o interesach do saloniku, a was zostawiamy samych. Ty, Józefie, masz drogę utorowaną. Reszty dokończysz sam.

Drzymalski (*na stronie*) Wpadłem na siedem bez atu!

(*Panna Anna siada na krześle i najspokojniej zaczyna robić szydełkową koronkę. Drzymalski zajmuje miejsce naprzeciw niej — mocno zmieszany. Chwila kłopotliwej ciszy*).

Pani Anna: Rzadko widujemy się.

Drzymalski: Słodki to dla mnie wyrzut. Ale jeżeli pani pozwoli, postaram się dotychczasowe zaniedbanie wynagrodzić.

Panna Anna (*z uśmieszkiem*) Komu?

Drzymalski: Wynagrodzić przede wszystkim sobie...

Panna Anna: A po wtóre?

Drzymalski: Istotnie, z tego, com powiedział, wynika i po wtóre. A więc... po wtóre... znowu sobie.

Panna Anna: Prawda, że w panu jest podobno dwu ludzi.

Drzymalski: Pani słyszała o tym aforyzmie? Dobry jest, co?

Panna Anna: Nawet o sławie pańskiego dowcipu. Ale jacyż to są ci dwaj ludzie, których pan lokujesz w sobie?

Drzymalski: Jednym jest ten, który panią poznał przed piętnastu laty: tkliwy i marzący. Drugim ten, który przez piętnaście lat kochał bez nadziei...

Panna Anna: I cztery razy oświadczył się czterem różnym pannom. Jakiż jest ten drugi?

Drzymalski: Dowcipny i złośliwy...

Panna Anna (*z lekkim uśmieszkiem*) W miłości nieszczęśliwy...

Drzymalski: Pozwolę sobie zauważyć, że rym, który pani w tej chwili skomponowała, jest lepszy od wielu moich, choć dużo nad nimi pracuję.

Panna Anna: Bardzo mi to pochlebia. Czy i pan dopuszcza się wierszy?

Drzymalski: Niestety tak! Układałem je na cześć pani. Czy pani także bawiła się w poezje?

Pani Anna: Niestety tak...

Drzymalski: Domyślam się, że nie z mego powodu?

Panna Anna: Powinnam uwielbiać pańską skromność, ale będąc szczera, wolę podziwiać pańską domyślność.

Drzymalski: Gorzkie odpowiedzi pani ranią moje nadzieje.

Panna Anna: Ach, prawda, że pan ma mi się oświadczyć i zapewne w imieniu obu swoich lokatorów. Skądże to przyszło tak nagle?

Drzymalski (*podnosząc się*) Miałem honor już wspomnieć, że od piętnastu lat...

Panna Anna (*pobłażliwie*) To już słyszałam, niech więc pan przejdzie do daty najświeższej.

Drzymalski (*siadając*) Bardzo dobrze. Otóż dziś spotkał mnie w Saskim ogrodzie szwagier pani...

Panna Anna: ...i litując się nad siostrą żony, starą panną, prosił w jej imieniu o rękę pańską. Czy tak?

Drzymalski: Boże uchowaj. Jesteśmy z nim kolegami od pierwszej klasy, nic zatem dziwnego, że w poufałej rozmowie wspomniałem mu o moich uczuciach, a on...

Panna Anna: ...poszedł z panem do restauracji na obiad. Tam, przy butelce wina, serca wasze uderzyły jeszcze spieszniej i — ułożyliście mariaż. Czy tak?

Drzymalski (*urażony*) Gdyby pani od swego opisu odjęła trochę złośliwości, a dodała trochę uczucia i poezji, może bym to potwierdził.

Panna Anna: Mam dodać poezji? Więc była nie jedna, a kilka butelek wina?... Poznałam to po humorze mego szwagra!

Drzymalski (*innym tonem*) Wiem, że nie jestem godzien miłości kobiety takiej, jak pani, ale czuję, że nawet mojej miłości nie godzi się wyszydzać. Zresztą mówiłem o niej ze szwagrem pani także i przed obiadem... Mówiłem tak pięknie, że szwagier pani był głęboko wzruszony.

Panna Anna (*odkłada robotę nie przestając się jednak uśmiechać*) Pan potrafi być szczerym?

Drzymalski: Nie umiem być innym.

Panna Anna: Dokąd pan pójdzie od nas?

Drzymalski: Na spacer.

Panna Anna: A później?

Drzymalski: Na kolację, a z kolacji na wista. Zbiera się trzech starych kawalerów i jeden wdowiec, ale głuchy.

Panna Anna: Gdybym panu zabroniła iść na kolację i wista?

Drzymalski: Byłbym szczerze zmartwiony, bo moi koledzy musieliby grać z dziadkiem.

Panna Anna: Widzę, że pan mówi prawdę. A co pan robi po wiście?

Drzymalski: Czytam książkę do poduszki i zasypiam.

Panna Anna: A z rana co?

Drzymalski: Karmię moje kanarki, znowu czytam, a potem idę na spacer i na obiad.

Panna Anna: Obiad pan jada w tej samej restauracji?

Drzymalski: Od dziesięciu lat.

Panna Anna: A spaceruje pan zawsze po tej samej alei?

Drzymalski: Także od dziesięciu lat.

Panna Anna: Kiedyż pan myśli o mnie?

Drzymalski: Prawie codzień, gdy spaceruję po ogrodzie.

Panna Anna: I dla mnie zmieniłby pan swój tryb życia?

Drzymalski (*po chwili namysłu*) Z wielką trudnością. Jestem już stary.

Panna Anna: To znaczy: nie zmieniłby go pan?

Drzymalski: Prawie, że nie. Chociaż podobno miłość wiele może.

Panna Anna: Co do mnie, to nawet dla pańskiej miłości nie zmieniłabym mego trybu życia, a jest on zupełnie różny od pańskiego. (*chwila kłopotliwej ciszy*) Jakiż pan wniosek wyprowadzasz z naszej rozmowy?

Drzymalski (*rozkłada ręce na znak rozpaczy i uderza się w kolano*) Okrutny wniosek — ten, że pani mnie nie chce. Jest to już piąta rana śmiertelna, jaką zadaje mi płeć piękna.

Panna Anna (*wstając*) Spodziewam się, że dzisiaj straci pan raz na zawsze ochotę do oświadczyn.

Drzymalski (*który wstał również*) Przeciwnie, pani. Gdybym przy pierwszej mojej katastrofie spotkał tak dowcipną kobietę jak pani, oświadczałbym się co tydzień. A tak zmarnowałem życie, utraciłem bardzo przyjemną rozrywkę.

Panna Anna: A teraz który człowiek przemawia przez pańskie usta?

Drzymalski: Niestety obaj... Jeden czuje, że jest nieszczęśliwy, a drugi pociesza się w nieszczęściu jak umie.

(*wbiega Niedojdziewicz, a za nim teść*).

Niedojdziewicz: No i cóż? Porozumieliście się? Wiedziałem o tem!

Drzymalski: Tak jest. Porozumieliśmy się o tyle, że panna Anna nie chce nawet słyszeć o mnie.

Niedojdziewicz (*patrząc na Annę*) Co?!

Panna Anna (*swobodnie*) Przeciwnie, to pan Drzymalski zrobił lepiej niż ja, bo wcale mi się nie oświadczył.

Niedojdziewicz: Wariaty! A przysiągłbym, że pasujecie do siebie jak moje dwie dłonie!

Ojciec Anny (*ściskając Drzymalskiego za rękę*) Ale w kwestii mieszkania trzymam pana za słowo. Żeń się, nie żeń się, to twoja rzecz! Ale sprowadź się do mego domu, boś porządny lokator!

KURTYNA

WIADOMOŚCI

z życia świetlic — przegląd wydawnictw — różne

TADEUSZ FELSZTYN

NIE Z KAŻDEJ CHMURY DESZCZ

Rozmowa o pogodzie należy dla zwyczajów najbardziej utartych i najwierniej przestrzeganych przez mieszkańców wysp brytyjskich. Choćby deszcz lał, jak z cebra, a zimno przenikało cię do szpiku kości, każdy napotkany Anglik powie ci niechybnie „nice weather, isn't it?".

Gdyby tradycyjną tę formułkę zachować jedynie do dni ciepłych i słonecznych, mało mieliby Anglicy okazji, by ją powtarzać. Silne zachmurzenie nieba w Anglii jest chyba jedną z najbardziej uderzających cech tutejszego krajobrazu. A jednak przeciętna roczna ilość opadów jest w Anglii niewiele większa, niż np. w Polsce. Nie z każdej bowiem chmury pada deszcz.

Meteorolodzy od dawna już nauczyli się rozpoznawać rozmaite typy chmur, rozróżniać te, które zwykle noszą deszcz ze sobą, od tych, po których deszczu spodziewać się nie można, i ponadawali im przeróżne uczone, łacińskie nazwy. Niemniej przepowiednie ich nie były nigdy niezawodne, jak o tym doskonale wiemy z rozmaitych złośliwych „kawałów" na ten temat. Dopóki bowiem nie poznamy dokładnie mechanizmu powstawania deszczu, sama klasyfikacja chmur na podstawie ich wyglądu niewiele nam będzie mogła pomóc.

Ostatnie lata przyniosły w tej dziedzinie wiele nowych danych. Usilne badania, przeprowadzone głównie z punktu widzenia lotów na dalekie przestrzenie (związanych w dużej mierze z wyprawami bombowymi ostatniej wojny), nowe środki, jak radar i sondy radiowe, a wreszcie specjalne loty, wykonywane przez angielskie i amerykańskie samoloty meteorologiczne, wyjaśniły nam wiele szczegółów, a postępy w naszej wiedzy fizycznej dopowiedziały resztę. Oczywiście, daleko nam jeszcze do pełnej znajomości rzeczy, jednak pewien obraz przybliżony możemy już sobie wytworzyć.

Ażeby móc odpowiedzieć na pytanie, kiedy deszcz może powstać, należy wpierw sobie wyjaśnić, co to właściwie jest chmura. Wiemy, że powietrze zawiera w sobie zawsze pewną ilość pary wodnej. Zimne powietrze zawiera jej mniej, ciepłe więcej. Powietrze, które przeszło ponad suchymi przestrzeniami Sahary lub pokrytymi lodem przestrzeniami Syberii, będzie miało jej niewiele, będzie więc **suche**. Na odwrót, powietrze, przyniesione przez wiatry, które wieją ponad dużymi połaciami oceanów, będzie z natury rzeczy w znacznie większym stopniu przepojone parą wodną, będzie więc **wilgotne**.

Normalnie powietrze wchłania parę wodną tylko do pewnego stopnia, zależnego od jego temperatury. Kiedy jednak powietrze ciepłe przeciąga ponad zimniejszymi od niego przestrzeniami lądu, lub gdy szybko wznosi się w górę, np. wzdłuż zboczy napotykanych na swej drodze gór, to oziębia się. Tym samym ilość pary wodnej, którą nosi ono ze sobą, zaczyna być za duża w stosunku do obniżonej temperatury. Para wodna staje się więc **przesyconą**, mając tendencję do skraplania się.

Tu jednak zaczyna się istotna trudność. Utworzenie z pary pierwszej kropli wody nie jest bynajmniej rzeczą łatwą. Cząsteczki pary, podobnie, jak wszystkie cząsteczki gazu, są w nieustannym ruchu. Wyobraźmy sobie we wszystkie strony biegnące piłki tenisowe, które potrącają się wzajemnie w tłoku, odbijają się, znów potrącają it.d. Niech do tego piłki te będą posmarowane lekko mazią; wówczas, jeśli spotkają się, biegnąc powoli, to sklejają się, — jeżeli jednak ich szybkość będzie większa, odbiją się. Przypuśćmy, że istotnie dwie piłki się skleiły: wystarczy, aby jedna szybciej biegnąca piłka je potrąciła, a rozlecą się znów. Podobnie dzieje się i w parze wodnej. Gdy dwie cząsteczki jej zlepią się, aby utworzyć zalążek kropli wody, natychmiast uderza w nie cząsteczka szybsza i owo nieszczęśliwe małżeństwo się rozlatuje. Jedynie w przypadku, gdy ogólna szybkość cząsteczek jest mała, a więc gdy przesycona para wodna zostanie mocno **przechłodzona**, może samorzutnie powstać kropla wody.

Co się jednak dzieje, gdy przechłodzenie nie jest zbyt wielkie? Wyobraźmy sobie, że w przestrzeni, w której biegają nasze piłki tenisowe, znajduje się duża kula mazi. Piłki, które do niej wpadną, już się nie odlepią. Do nich przylepiać się będą piłki dalsze i dokoła kuli mazi rosnąć będzie kula piłek. Rolę mazi w chmurze spełniają drobne cząsteczki soli, które wiatry unoszą ze sobą znad oceanów; kropeleczki kwasu azotowego, utworzone w powietrzu z zawartego w nim tlenu i azotu przez wyładowanie elektryczne (błyskawice) i promienie kosmiczne, a wreszcie drobniutkie cząsteczki sadzy, wyrzucane przez kominy fabryk i piece, a zwłaszcza kominki. Podobną rolę odgrywają również, co dla dalszych naszych wywodów będzie szczególnie ważne, drobne kryształki lodu.

W ten sposób w przesyconym parą, a ochłodzonym powietrzu powstają drobne **kropelki wody**. Są one tak lekkie, że wystarczy najmniejszy podmuch wiatru, którego w chmurach nigdy nie brak, aby nie dozwolić im opaść na ziemię. Ogólna ich ilość w chmurze jest stosunkowo niezbyt wielka, ponieważ jednak załamują one promienie światła i — przy dużej rozciągłości chmury — zatrzymują część ich w sobie, toteż możemy chmurę widzieć, przy czym, im chmura więcej zatrzymuje promieni w sobie (lub też rozprasza ku górze), tym na ogół (zależy to bowiem dużo i od oświetlenia) wydaje się ona czarniejszą.

Jak już jednak wspomnieliśmy, kropelki wody w chmurze są tak drobne, że nie mogą opaść na ziemię. Ażeby bowiem kropelki wody mogły przebyć przestrzeń, dzielącą podstawę chmury od ziemi, muszą one być dostatecznie duże, o średnicy co najmniej pół milimetra, aby nie wyparowały w czasie przebiegu (drobne krople parują niesłychanie szybko) i aby pokonały opór unoszących je wiatrów wstępujących t.j. takich, które wieją od ziemi pionowo lub prawie pionowo ku górze. Tymczasem w normalnej chmurze kropelki wody rosną niezmiernie wolno i jedynie w bardzo wyjątkowych przypadkach, gdy chmura oziębia się powoli, a podstawa jej jest blisko ziemi, mogą powstać

kropelki dość już bliskie granicy pół milimetra średnicy, które wolno opadają ku ziemi. Mówimy wtedy, że mży.

Normalny deszcz, którego krople dochodzą do 5 milimetrów średnicy, nie może jednak w ten sposób powstać. Toteż wielkie masy powietrza, przepełnionego owymi drobniutkimi kropelkami wody, zajmują olbrzymie przestrzenie, tworząc **chmury**, których grubość (od podstawy do szczytu) waha się w dużych granicach, dochodząc niekiedy nawet i do 15 kilometrów.

Gdy taka chmura podnosi się pod wpływem wiatru w górę, zachodzi nowe zjawisko. Powietrze na dużych wysokościach jest bardzo zimne. Zależnie od pory roku i warunków klimatycznych, na wysokościach od 8 do 12 kilometrów ponad poziomem morza, temperatura jego wynosi coś około 50 stopni poniżej zera. Jak wiemy, już przy 0 stopni C. woda marznie. Ponieważ jednak tworzenie się pierwszych kryształków lodu jest nieomal równie trudne, jak i pierwszych kropelek wody, dlatego w chmurach pierwsze kryształki lodu pojawiają się dopiero wtedy, gdy temperatura powietrza spada do 13 stopni poniżej zera.

Jeżeli więc chmura jest dostatecznie wysoka, zawiera ona nie kropelki wody, lecz kryształki lodu. One to właśnie powodują ciekawe zjawisko, które możemy zaobserwować, gdy niebo jest przejrzyste, a jedynie wysokie chmury, których podstawa w naszym klimacie rzadko kiedy schodzi poniżej 6 kilometrów, znajdują się nieomal niewidoczne na niebie. Wtedy promienie księżyca (lub w wyjątkowych warunkach — słońca) odbijają się od malusieńkich kryształów lodu, tworząc piękną aureolę, okalającą księżyc częściowo lub całkowicie; księżyc spaceruje więc po niebie „w czapie".

Jeżeli jednak chmura jest tak głęboka, że wierzch jej jest w strefach powietrza, gdzie temperatura jest niższa od —13 st., a podstawa jej w powietrzu o temperaturze ponad zero, to górna część chmury ma w sobie kryształki lodu, dolna — kropelki wody. Są to już warunki, sprzyjające powstaniu deszczu. Aby jednak ta deszczem brzemienna chmura mogła deszcz z siebie wydać, konieczny jest czynnik następny: wiatr.

Na skutek rozmaitych przyczyn, których nie sposób tu omawiać, w chmurach panują nieustanne wiatry. Dzięki nim chmury dzielą się często na poszczególne komory, oddzielone jedne od drugich pasami czystego powietrza, co nadaje im wygląd stada baranków na niebie. Ten właśnie typ chmur został najdokładniej dotąd zbadany, przy ceym próby sztucznego ich wytworzenia w warunkach laboratoryjnych przez fizyków **K. Chandrę i M. W. Chiplonkara** w 1949 roku, potwierdziły w zupełności pierwotną teorię **H. Bernarda** o zachodzących w nich wiatrach. Te i podobne badania pozwoliły wytworzyć sobie przeświadczenie, że w chmurach panuje nieustanny ruch powietrza, przy czym w jednej i tej samej chmurze, a nawet w poszczególnych jej „komorach" mogą istnieć równocześnie wiatry idące do góry w jednej części komory, a na dół w drugiej jej stronie.

Jeżeli więc chmura sięga głową tak wysoko, że w górnych jej warstwach powstają kryształki lodu, i jeżeli wiatry, wiejące ku górze, unoszą coraz więcej kropel wody w tę okolicę, kryształki lodu rosną kosztem kropelek wody bardzo szybko i stają się tak ciężkie, że opadają ku ziemi. Przechodząc przez cieplejsze części chmury, topnieją i — tworząc już duże krople wody — zbierają po drodze drobniejsze jej kropelki, rosną i osiągają wielkość dostateczną, aby móc opaść ku ziemi. Deszcz zaczyna padać.

Wielkość jego kropel zależy od wielu czynników, a więc od stopnia nasycenia chmury kropelkami wody, od czasu, jaki kropelki deszczu przebywają w chmurze, a więc od panujących w niej wiatrów i t.p. W szczególnie korzystnych dla siebie warunkach, a więc w chmurach burzowych, w których wiatry wstępujące i zstępujące osiągają szybkości nieraz ponad 100 kilometrów na godzinę, krople deszczu, rzucane ku górze, rosną do znacznych wielkości, a trafiwszy do tej części chmury, w których wieją silne wiatry ku ziemi, otrzymują znaczne szybkości w dół i spadają jako gęsty, gwałtowny deszcz, tak charakterystyczny da chmur burzowych.

Jak z powyższego widać, nie każda chmura może przynieść deszcz. Potrzebne są do tego szczególne warunki. Nieraz w czasie posuchy rolnik, spoglądając ku niebu i widząc przesuwające się po nim chmury, z żalem wzdycha, dlaczego nie mogą mu one dać deszczu. Niekiedy może mu w tym dziś pomóc nauka. Znając bowiem warunki, konieczne dla powstania deszczu, można go w chmurze wytworzyć sztucznie. Ale o tym następnym razem.

Jako źródła dla pogłębienia wiadomości, podanych powyżej, mogę zalecić:

1. Eric Kraus. „Rain". „Science News", No. 5. Penguin Book, 1947.

2. „The Structure of Clouds". „Discovery", March, 1950.

3. O. G. Sutton. „The Restless Wind". „Science News", No. 11. Penguin Books, 1949.

Z ŻYCIA YMCA

MIĘDZYNARODOWE KONFERENCJE YMCA

P. Joe Bednarek, dyrektor Światowego Komitetu YMCA na strefę brytyjską w Niemczech, wziął udział w konferencji międzynarodowej, poświęconej zagadnieniu działalności YMCA wśród chłopców. Obrady odbywały się w Greenlake, Wisconsin, USA. Z okazji swego pobytu w Stanach Zjednoczonych p. Bednarek nawiązał łączność z miejscowymi obywatelami amerykańskimi polskiego pochodzenia, omawiając z nimi sprawy opieki nad polskimi wysiedleńcami w Niemczech.

W połowie sierpnia r.b. odbędzie się w Nyborg Strand (Dania) zebranie plenarne Światowego Komitetu YMCA, poświęcone ustaleniu kierunków pracy i ogólnej polityki YMCA na okres kilku lat najbliższych. Na konferencję tę wyjeżdża z ramienia Polskiej Sekcji YMCA w Wielkiej Brytanii sekretarz generalny p. Tadeusz Zawadzki.

AKCJA ODCZYTOWA W USA

P. Henryk Majchrzak, były długoletni dyrektor Polskiej YMCA w Wielkiej Brytanii, zamieszkujący obecnie w Kanadzie, odbył w kwietniu i maju r.b. turę odczytową na obszarze Stanów Zjednoczonych w związku ze zbiórką finansową na cele Youth Fund i World's Service. W ramach objazdu p. Majchrzak wygłosił ponad 40 odczytów w językach polskim i angielskim, przemawiając do młodzieży szkolnej, ośrodków YMCA, Rotary Clubs, Klubów Optymistów i t.p.

WYWCZASY W SZWECJI

Brytyjska YMCA zorganizowała w roku bieżącym wyjazdy dla swych członków na pobyt wypoczynkowy w Szwecji. Stosunkowo niskie koszty — około 26 funtów łącznie z przejazdami

drogą lotniczą — zapewniły imprezie duże powodzenie. Daje ona nietylko dogodne warunki dla wypoczynku, ale i jedyną w swoim rodzaju sposobność zapoznania się z krajem o pięknej przyrodzie, bogatych tradycjach kulturalnych i wysokiej stopie życiowej. Polska Sekcja YMCA czyni starania, aby udostępnić swym członkom udział w tych wycieczkach, poczynając już od roku najbliższego.

KURS DLA POLSKICH PRACOWNIKÓW I DZIAŁACZY YMCA

Od dłuższego czasu toczy się dyskusja w sprawie zorganizowania specjalnego kursu, przeznaczonego dla osób, które bądź zajmują odpowiedzialne stanowiska w polskich sekcjach YMCA, bądź współpracują z Komitetami Doradczymi. Celem takiego kursu—konferencji byłoby zapoznanie się z obecnymi kierunkami ideowymi w ramach Światowej YMCA, nawiązanie łączności z wybitnymi kierownikami ruchu imkarskiego oraz omówienie wspólnych spraw programowych. Zjazd tego rodzaju mógłby odbyć się przy współudziale pracowników imkarskich innych narodowości. Pierwotnie wskazywano na Melun (Francja) jako miejsce zamierzonej konferencji, jednak obecnie wymienia się inne miejscowości.

Zbyteczne jest dodawać, że kurs tego rodzaju przyczyniłby się w wydatnym stopniu do wzmocnienia i ożywienia pracy YMCA wśród Polaków.

WYJAZD PROF. ROSE

W lipcu r.b. opuszcza Wielką Brytanię prof. William J. Rose dla objęcia stanowiska uniwersyteckiego w Kanadzie. Prof. Rose był długoletnim wiceprzewodniczącym Komitetu Doradczego Polskiej Sekcji YMCA w Wielkiej Brytanii. Jako doświadczony imkarz, gruntownie zapoznany ze społeczeństwem polskim i jego kulturą, prof. Rose był dla Sekcji Polskiej nieocenionym doradcą i opiekunem. Żegnamy Go jak najserdeczniej, życząc Mu dalszej owocnej pracy i pomyślności we wszystkich poczynaniach.

NOWE WYDAWNICTWA DLA TEATRU AMATORSKIEGO

Zgodnie z zapowiedzią ukazały się w osobnych odbitkach dwa dalsze utwory dramatyczne, nadające się do wystawienia w teatrach amatorskich. Jako numer drugi serii wyszła sztuka jednoaktowa Wiktora Budzyńskiego p.t. „Kelnerzy"; trzecie miejsce zajęła Teodozja Lisiewicz z jednoaktówką p.t. „Dwa ogniwa".

Wydawanie utworów scenicznych w osobnych odbitkach ma na celu ułatwienie pracy reżyserom i wykonawcom. Polska Sekcja YMCA ogłasza te wydawnictwa wspólnym nakładem ze Stowarzyszeniem Polskich Kombatantów. W najbliższej przyszłości pomyślnie zainaugurowana seria zostanie powiększona dalszymi nabytkami.

URUCHOMIENIE OBOZU

Z dniem 15 lipca czynny będzie pierwszy na obszarze Wielkiej Brytanii obóz letni Sekcji Polskiej YMCA w Botley koło Southampton. Doskonałe warunki zewnętrzne, dobre wyżywienie i doświadczone kierownictwo rokują temu przedsięwzięciu powodzenie. Tegoroczne doświadczenia zostaną wyzyskane dla podjęcia imprez podobnych w latach następnych.

Zamiar utworzenia własnego obozu imkarskiego, opartego na przedwojennych tradycjach Polskiej YMCA, pojawił się już w roku ubiegłym. Urzeczywistnienie tego planu stało się możliwe dzięki wielkiej uczynności i bardzo życzliwej współpracy ze strony Brytyjskiej YMCA, która użyczyła pomieszczenia we własnym ośrodku obozowym, udostępniając zarazem własne urządzenia i sprzęt. Pomoc ta pozwoliła na zredukowanie opłat od kandydatów do koniecznego minimum (34 szylingi tygodniowo).

KONFERENCJA W SKEGNESS

Czołowi przedstawiciele ruchu YMCA w Wielkiej Brytanii odbyli swój doroczny zjazd w Skegness, w dniach od 24 czerwca do 1 lipca r.b. Obrady były poświęcone przede wszystkim aktualnym zagadnieniom wychowawczym. W konferencji wziął udział sekretarz generalny Polskiej Sekcji YMCA w Wielkiej Brytanii, Tadeusz Zawadzki.

ROZGRYWKI PIŁKARSKIE

Drużyna Klubu YMCA w Sheffield bierze udział w polskich mistrzostwach piłkarskich o puchar gen. Andersa. Odniosła ona dotychczas kilka sukcesów, zwyciężając m. in. Cracovię z Melton Mowbray w stosunku 2:0 oraz drużynę Sokoła (5:2). Natomiast mecz z Naprzodem z Mansfield zakończył się porażką imkarzy z wynikiem 1:3. Zespół sheffieldzki uchodzi za jedną z czołowych drużyn turnieju. W skład drużyny wchodzą m.in. następujący gracze: Golus, Jalowiecki, Rank, Namysł, Achtelik, Szeffer, Kamiński, Kubica, Bielec, Sikora, Thiel, Stenzel, Paluch, Kaczmarczyk, Podlodowski, Kruk i Spychała.

MIŁY GOŚĆ

W czerwcu r.b. bawił w Londynie kierownik Polskiej Sekcji YMCA we Francji, inż. Jan Olesiński. Pobyt ten wyzyskano dla omówienia różnorodnych możliwości współpracy między imkarzami polskimi we Francji i w Wielkiej Brytanii. Szczególną uwagę poświęcono projektowanemu kursowi dla pracowników oświatowych (o którym donosiliśmy w jednym z poprzednich numerów „Poradnika Świetlicowego"), wymianie książek i czasopism oraz wspólnym potrzebom organizacyjnym. W wyniku tych obrad stwierdzono konieczność wzajemnych regularnych kontaktów dla wymiany poglądów w sprawach programowych oraz jak najbardziej celowego i wszechstronnego wyzyskiwania dorobku, osiąganego na poszczególnych obszarach.

ECHA KURSU DLA PRACOWNIKÓW OŚWIATOWYCH

Otrzymaliśmy od p. Justyny M., zamieszkującej obecnie w Argentynie, sympatyczny list, z którego cytujemy początek:

„Dziwi się Pan na pewno, że po tak długim milczeniu odważam się pisać. Ale cóż ja poradzę, że o YMCA stale myślę, a i ona sama mi się przypomina. Otóż przeczytałam kiedyś w tutejszym piśmie „Głos Polski", że Polska YMCA w Londynie urządza kursy korespondencyjne dla kierowników świetlic i t.d. Zwracam się do Pana Dyrektora wprost z prośbą o poinformowanie mnie, czy nie można by za opłatą otrzymać prospektu takiego kursu i kompletu wykładów. Piszę nie w moim imieniu, ale pragnęłabym, by drogą korespondencyjną przerobić taki kurs mogły niektóre panie, zrzeszone w Związku Kobiet Polskich... Życie kulturalno-oświatowe wśród tutejszej kolonii, pomoc dla biednych w Kraju (wysyłanie paczek odzieżowych, żywnościowych, z lekarstwami), opieka nad wdowami i sierotami, podtrzymywanie tradycji polskich i t. p. — oto nasz program, który szczerze i z zamiłowaniem wypełniamy. Ale nie mając świeżego dopływu z szerokiego świata, nie znając nowych prądów, — czuję, że nasze koncepty powoli się wyczerpują. Dlatego jak w dym udaję się do Pana z prośbą o udostępnienie nam rozszerzenia horyzontów myślowych za pomocą właśnie takiego

kursu korespondencyjnego. Koszty, związane z tym, poniesie związek nasz, co już z Prezeską uzgodniłam..."

Z DZIAŁALNOŚCI YMCA W STREFIE FRANCUSKIEJ NIEMIEC

W czerwcu odbył się kurs dla kierowników obozowych. W lipcu projektowane są następujące kursy przeszkoleniowe: 1) kinooperatorów, 2) nauczycieli języków obcych, 3) instruktorów ruchu emigracyjnego.

Podajemy zarys programu jednego z kursów, który odbył się w Prien w dniach od 19 do 24 czerwca 1950 roku:

— Metody pracy YMCA,

— Cele pracy instrukcyjnej i nauczania języków obcych wśród DPsów,

— Metody wykonywania programów działalności,

— Polityka emigracyjna IRO,

— Planowanie i sprawozdawczość,

— Wskazówki programowe dla różnych etapów rozmieszczenia uchodźców,

— Wyniki nauczania języków obcych w świetle danych statystycznych,

— Instruktor nauki metodą „Linguaphone" i jego zadania,

— Lekcje przykładowe języków obcych.

PRACA WŚRÓD POLAKÓW

W ramach zebrania plenarnego Światowego Komitetu YMCA w Nyborg Strand (Dania) przewiduje się specjalne konferencje, na których omawiana będzie działalność YMCA wśród Polaków na uchodźtwie. Obrady dotyczyć będą zarówno ideologii i programu, jak i spraw organizacyjnych.

Dyskusje toczyć się będą najpierw w polskiej grupie uczestników, co ma na celu ułatwienie wymiany poglądów i wydobycie na jaw wszystkich zagadnień, które z polskiego punktu widzenia zasługiwałyby na poruszenie. Następnie w obradach wezmą udział kierownicy zagranicznych placówek imkarskich, związanych z pracą wśród Polaków.

W rozmowach tych wezmą udział pp.: Bednarek, Cedergren, Gutowski, Jones, Kilpatrick, Kościuszko, Krasicki, Lewandowski, Lowrie, Moser, Moyse, Olesiński, Paczkowski, Sturbois, Sir Frank Willis i Zawadzki.

Wnioski i projekty, przyjęte na konferencjach w sprawie akcji YMCA wśród polskich uchodźców, zostaną przedstawione Komisji dla Akcji Doraźnych, która z kolei złoży oświadczenie na plenum zebrania.

Z KLUBU YMCA W LONDYNIE

Wystawa malarska grupy „49" wzbudziła wiele zainteresowania. Ogólny poziom prac w porównaniu z wystawami poprzednimi świadczył o tym, że uczestnicy grupy pogłębili swą świadomość artystyczną i wzbogacili środki wyrazu, zwłaszcza w zakresie kolorystyki.

Wycieczki i zbiorowe zwiedzanie galerii sztuki — to imprezy, mające wiernych i niestrudzonych zwolenników. Energiczne i doświadczone przewodnictwo prof. Bohusza-Szyszko stwarza jedyną w swoim rodzaju sposobność systematycznego studiowania zabytków artystycznych, zgromadzonych tak obficie w Londynie i w okolicznych miejscowościach.

Lekcje języka angielskiego zostały chwilowo zawieszone na okres przerwy wakacyjnej. Na zakończenie nauki odbyła się herbatka.

Dyskusja na temat kierunków literackich w Polsce w latach 1918-1939 przeciągnęła się na kilka zebrań. Wyszło na jaw, że tego rodzaju tematami interesuje się stosunkowo duża liczba członków Klubu.

PRZEDRUKI Z „PORADNIKA"

Zrzeszenie Rzemieślników i Robotników w Wielkiej Brytanii rozesłało swoim komórkom organizacyjnym powielony przedruk artykułów pp. A. W. i Feliksa Bielskiego, poświęconych prowadzeniu dyskusji. Ostatnio z podobnym zamiarem zwróciła się do redakcji „Poradnika Świetlicowego" organizacja harcerzy.

ZASZCZYTNE ZAPROSZENIE

Królewska Akademia Tańca w Londynie nadesłała do Polskiej Sekcji YMCA pismo, wyrażające się bardzo pochlebnie o imkarskim zespole tanecznym i zapraszające naszych tancerzy na otwarcie nowego roku szkolnego w dniu 25 września. To zaszczytne wyróżnienie zespołu zostało spowodowane licznymi prośbami osób, które nie mogły być obecne na poprzednim występie tancerzy polskich w lutym r.b.

Tymczasowo naszkicowany program nowego występu w Royal Academy of Dancing obejmuje pięć tańców narodowych i regionalnych oraz jeden stylizowany taniec solistów.

Zapowiedziany występ wzbudził duże zainteresowanie wśród licznych przyjaciół zespołu, którzy odgrażają się, że tłumnie przybędą do Royal Academy.

TANCERZE YMCA NA EALINGU

Jeden z dyrektorów Brytyjskiej Sekcji YMCA, Mr. Tucker, zwrócił się do Zespołu Tanecznego Polskiej YMCA z prośbą o wykonanie polskich tańców narodowych przed publicznością, złożoną z mieszkańców domu dla starców na Ealingu.

Występ odbył się dn. 29 lipca r.b. w Congregational Church Hall na Ealing Green. Zespół taneczny wykonał taniec zbójnicki, krakowiaka i poloneza. Jako solistki wystąpiły Barbara Sławińska w pięknym oberku „Gęsiareczka" oraz Olga Żeromska w „Kujawiaku" Łady. Publiczność angielska żywo i entuzjastycznie reagowała na występy taneczne, zmuszając tancerzy do nieustannego bisowania. Duże wrażenie wywołał zwłaszcza polonez, tańczony do muzyki Kurpińskiego w pięknych, stylowych strojach z XVIII w. W przerwach pomiędzy tańcami p. Jan Popiel charakteryzował krótko każdy z tańców, objaśniając jego pochodzenie i rozwój w przeciągu stuleci.

Gospodarze z p. Tuckerem na czele serdecznie i szczerze dziękowali zespołowi za piękny występ. Tradycyjne, angielskie „nice cup of tea" zakończyło miłą i udaną imprezę.

KALENDARZYK IMPREZ

na SIERPIEŃ 1950

KLUBU SEKCJI POLSKIEJ YMCA W LONDYNIE

2. ŚRODA — godz. 7.30

Zaginiona Atlantyda.

K. CHODKIEWICZ

6. NIEDZIELA — godz. 3.00

Tate Gallery: Nowoczesna sztuka włoska. Zbiórka przed wejściem do Tate Gallery.

13. NIEDZIELA — godz. 2.00

Wycieczka do Greenwich — zwiedzanie Maritime Museum.

Zbiórka o godz. 2 pp. Charing Cross Pier — przystań dla autobusów wodnych.

20. NIEDZIELA — godz. 7.30

Kronika plastyczna Londynu.

MARIAN BOHUSZ-SZYSZKO

23. ŚRODA — godz. 7.30

Sztuka T. S. Eliot'a: Cocktail Party. (przedstawienie w New Theatre).

ZDZISŁAW BRONCEL

27. NIEDZIELA — godz. 3.00

Tate Gallery: Prerafaelici angielscy. Zbiórka przed wejściem do Tate Gallery.

---

*Zwiedzanie wystaw pod przewodnictwem M. BOHUSZA-SZYSZKO

W każdą sobotę lekcje tańców narodowych, prowadzi O. ŻEROMSKA, przyjmuje się nowe zapisy.

Zebrania:

Koła Dyskusyjne. Wtorki — godz. 7.30
Koło Fotografilm. Piątki — godz. 7.30

Czwartki 4.00—7.00 lekcje gry na fortepianie — S. NIEKRASZOWA, przyjmuje się nowe zapisy.

Szachy i warcaby do dyspozycji w Klubie

Biblioteka Klubu otwarta we wtorki, środy czwartki i piątki od godz. 5.30 do 7.30 po południu, oraz w piątki rano od godz. 11.00 do 12.00.